

# Arthur Miller

## O b e c n o ś ć

### **Buldog**

Zobaczył w gazecie ogłoszenie drobnym drukiem: *czarne moregowate buldogi - szczeniaki po 3 dolary*. Miał coś około dziesięciu dolarów za malowanie domów; jeszcze nie zdążył ich wpłacić... ale nigdy dotąd w ich domu nie było psa. Kiedy zaświtał mu ten pomysł, ojciec odbywał akurat długą drzemkę, a matka była w trakcie

rozgrywki brydżowej. Chłopiec zapytał ją czy się zgadza, ale ona tylko wzruszyła ramionami, dorzucając kartę. Krążył więc wokół domu, próbując podjąć decyzję - może lepiej się pośpieszyć, zanim ktoś zabierze mu szczeniaka sprzed nosa. Nosił w głowie obraz konkretnego pieska, który już był jego i dobrze o tym wiedział. Niestety chłopiec nie miał pojęcia, jak wygląda moregowaty buldog, chociaż sama nazwa brzmiała twardo i wspaniale. No i posiadał trzy dolary, chociaż z przykrością myślał o wydaniu ich, skoro ojciec znów zbankrutował i wpadli w kłopoty finansowe. W ogłoszeniu nie napisano, ile szczeniaków jest na sprzedaż - może tylko dwa albo trzy, które mógł już ktoś kupić.

O podanej w adresie ulicy - Schermerhom Street - nigdy dotąd nie słyszał. Zatelefonował tam i jakaś kobieta ochryplym głosem poinformowała go, jak dojechać. Z rejonu Midwood, gdzie mieszkał, nadziemną linią Culver, potem przesiąść się przy Church Avenue... Zapisał wszystko skrupulatnie i na koniec jeszcze raz jej odczytał. Dzięki Bogu szczeniaki wciąż były do kupienia. Dojazd zajął mu ponad godzinę, ale przy niedzieli pociąg okazał się niemal pusty, a przez otwarte okna w drewnianych ramach wpadała świeża bryza, więc było chłodniej niż na ulicy. W dole na pustych działkach zgięte wpół stare Włoszki, z czerwonymi bandanami na głowach, zbierały do fartuchów mleczko. Szkolni koledzy Włosi mówili, że robi się z nich wino i sałatki. Raz, kiedy grał na lewym polu na działce koło domu, spróbował takiego mleczka, ale był gorzki i słony jak łzy. Stary drewniany pociąg, prawie bez pasażerów, kołysał się, klekocząc lekko w popołudniowej duchocie. W pewnym momencie przejechał nad rzędem domów, gdzie na podjazdach mężczyźni polewali samochody wodą - wyglądały zupełnie jak zgrzane słonie. W powietrzu unosiły się przyjemnie drobinki pyłu.

Okolica Schermerhom Street okazała się zaskakująco różna od jego własnej w Midwood. Budynek miał tu elewacje z brunatnego kamienia, a nie z desek, jak w jego kwartale, który wzniesiono zaledwie przed kilkoma laty i tylko nieliczne domy pochodziły z lat dwudziestych. Tutaj nawet chodniki wyglądały na stare - zamiast betonu użyto wielkich kwadratowych płyt, a w szczelinach między nimi rosły kępki trawy. Raczej nie mieszkali tu Żydzi, może dlatego, że było tu zbyt cicho i sennie i nikt nie wygrzewał się w słońcu przed progiem. Z pootwieranych okien wyglądali ludzie o twarzach bez wyrazu, wsparci na łokciach, na niektórych parapetach przeciągały się koty. Liczne kobiety w stanikach i mężczyźni w gatkach starali się złapać nieco chłodniejszego powietrza. Chłopcu po plecach spływały strużki potu; nie tylko z gorąca, także dlatego, że nagle coś sobie uświadomił: z całej rodziny tylko on jeden chciał tego pieska. Rodzice tak naprawdę nie mieli na ten temat zdania, a starszy brat powiedział:

- Zwariowałeś? Wydawać własne dolary na szczeniaka? Skąd wiesz, czy będzie z niego jakiś pożytek? I czym go wykarmisz?

Chłopiec bąknął coś o kościach, ale brat, który zawsze wiedział, co jest dobre, a co złe, wydarł się na niego:

- Kości?! Przecież szczeniaki nie mają jeszcze zębów!

T-to może zupa? - wymamrotał chłopiec.

- Zupa? Chcesz karmić szczeniaka zupą?

Nagle zorientował się, że stoi już pod właściwym domem. Poczul się tak, jakby grunt usunął mu się spod nóg; przecież to wszystko pomyłka, jak jeden z jego snów czy jedno z jego kłamstw, których prawdziwości próbował głupio bronić. Serce gwałtownie mu przyśpieszyło, a na twarz wypłynął rumieniec. Szedł jeszcze kawałek dalej. Nikogo więcej nie było na ulicy i ludzie obserwowali go z okien. Ale jak mógł wrócić do domu, skoro dotarł aż tutaj? Wydało mu się, że jest w drodze od tygodni, może nawet roku. Miałby wracać do kolejki z niczym? Może powinien chociaż rzucić okiem na tego szczeniaka, jeśli kobieta mu pozwoli. Zajrzał wcześniej do „Księgi wiedzy”, gdzie znalazł całe dwie strony zdjęć psów - był tam biały buldog angielski z krzywymi łapami i zębami wystającymi z dolnej szczęki, czarno-biały buldożek bostoński i długonosy pitbull, ale nie było żadnego moregowatego. Na dobrą sprawę wiedział o nim tylko tyle, że kosztuje trzy dolary. Musiał chociaż spojrzeć na tego swojego szczeniaka, więc zawrócił do tamtego domu i zadzwonił do suterenu, tak jak kazała mu kobieta. Dźwięk dzwonek okazał się tak głośny, że chłopiec się spłoszył, ale gdyby teraz uciekł, a kobieta akurat wyszła, stropiłby

się jeszcze bardziej, więc stał tam, czując, jak pot cieknie mu po wardze.

Drzwi na ganku się otworzyły, wyszła z nich kobieta i popatrzyła na niego przez zakurzone pręty bramy. Ubrana była w coś w rodzaju szlafroka z jasnoróżowego jedwabiu, który przytrzymała sobie jedną ręką. Miała długie do ramion czarne włosy, ale chłopiec nie odważył się spojrzeć jej w twarz, więc właściwie nie mógłby powiedzieć, jak wyglądała, chociaż wyczuwał w niej pewne napięcie, jakby zastanawiała się, co on tutaj robi i dlaczego do niej dzwoni. Szybko zapytał, czy to ona dała ogłoszenie. Och! Od razu zaczęła się inaczej zachowywać. Odemknęła bramę i otworzyła ją na oścież. Była niższa od chłopca i pachniała dość szczególnie - mieszaniną mleka i stęchłego powietrza. Wszedł za nią do mieszkania tak ciemnego, że ledwie mógł coś zobaczyć, ale zaraz usłyszał cieniutki jazgot piesków. Musiała je przekrzyknąć, żeby zapytać, gdzie chłopiec mieszka i ile ma lat, a kiedy odrzekł, że trzynaście, aż palnęła się ręką w usta i powiedziała, że jest wysoki jak na swój wiek. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu wydawała się tym skrępowana, może myślała, że ma piętnaście, co niektórym się zdarzało, ale mimo wszystko... Poszedł za nią do kuchni na tyłach mieszkania i dopiero tam, w parę minut po zejściu ze słońca, mógł się należycie rozejrzeć. W dużym tekturowym pudle, przyciętym nierówno z wierzchu, żeby było płytsze, zobaczył trzy szczeniaki z matką, która siedziała z podniesioną głową, poruszając wolno ogonem w przód i w tył. Według niego nie przypominała buldoga, ale nie odważył się tego powiedzieć. Była zwykłym brązowym psem z czarnymi plamkami i kilkoma nieregularnymi prążkami. Szczeniaki wyglądały identycznie. Spodobały mu się ich oklapnięte uszka, ale właścicielce powiedział, że tylko chciał je obejrzyć i nie podjął jeszcze decyzji. Tak naprawdę nie wiedział, co dalej robić, więc żeby nie pomyślała sobie, że mu się nie podobają, zapytał, czy może jednego potrzymać. Zgodziła się natychmiast, wyjęła dwa pieski i postawiła je na niebieskim linoleum. Nie, absolutnie nie wyglądały jak buldogi, ale krępował się powiedzieć, że jednak rezygnuje. Kobieta podniosła jednego i położyła chłopcu na kolanach.

- Masz - powiedziała.

Nigdy dotąd nie trzymał żadnego psa, bał się, że mu się wyśliznie, więc otoczył go ramionami. Piesek miał ślepka jak szare guziczki. Chłopiec czuł ciepłą miękkość jego skóry, ale także coś w rodzaju dreszczu obrzydzenia. Niepokoiło go, że w „Księdze” nie widział zdjęcia tej rasy. Prawdziwy buldog powinien być silny i groźny, natomiast te... to przecież zwykłe brązowe pieski. Chłopiec przysiadł na poręczy zielonego fotela ze szczeniakiem na kolanach, nie wiedząc, co dalej robić. Kobieta tymczasem zdażyła usadowić się obok i chyba poklepała go po włosach, ale nie był pewien, bo miał je bardzo gęste. Mijały sekundy, a on czuł się coraz bardziej niepewnie, więc gdy zapytała go, czyby się nie napił wody, odpowiedział skwapliwie, że owszem. Podeszła do zlewu i odkręciła kran, co dało mu okazję do wstania i włożenia szczeniaka do pudła. Wróciła ze szklanką wody, a kiedy ją od niej brał, jej szlafrok się rozchylił, ukazując piersi niczym na pół nadmuchane balony. Powiedziała przy tym, że nie wierzy, jakoby miał tylko trzynaście lat. Wydudlił wodę i chciał oddać jej szklankę, ale ona przyciągnęła do siebie jego głowę i pocałowała go. Przez cały ten czas z jakiegoś powodu nie mógł spojrzeć jej w twarz i kiedy wreszcie spróbował, nie zobaczył nic poza rozmazaną plamą i włosami. Sięgnęła niżej i wtedy poczuł dziwne drżenie w tyle nóg. Nasilało się coraz bardziej, aż w końcu było prawie tak jak wtedy, gdy dotknął brzegu oprawki przy usuwaniu resztek stłuczonej żarówki. Upadku na dywan już nie zapamiętał - zupełnie jakby zwałił mu się na głowę wodospad. Pamiętał tylko, jak wszedł w jej gorącość, a potem tłukł i tłukł głową o nogę sofy. Dopiero przy Church Avenue, gdzie miał się przesiąść w nadziemną linię Culver, zdał sobie sprawę, że nie wzięła od niego trzech dolarów, nie pamiętał też, aby się na to zgodził, ale mimo to trzymał na kolanach pudełko z popiskującym szczeniakiem. Chrobot pazurków o tekturę przyprawiał go o zimny dreszcz na plecach. Kobieta, jak sobie właśnie przypomniał, wycięła dwie dziurki w wieczku i szceniak ciągle wystawiał przez nie nos.

Matka aż odskoczyła, kiedy rozwiązał sznurek i szceniak wygramolił się, poszczekując.

- Co on robi? - wrzasnęła z rękami w powietrzu, jakby spodziewała się ataku.

Ale chłopiec do tego czasu wyzbył się obaw. Trzymał szczeniaka w ramionach i pozwalał się lizać po twarzy, więc i matka na ten widok uspokoiła się nieco.

- Jest głodny? - zapytała, stojąc z rozchylonymi ustami, gotowa na wszystko, gdy chłopiec stawiał pieska z

powrotem na podłodze.

Przyznał, że szczeniak może być głodny, ale powinien jeść tylko miękki pokarm, mimo że ma zębki ostre jak szpileczki. Matka wyjęła śmietankowy serek i położyła kawałek na podłodze, ale szczeniak tylko go obwąchał i zaraz się zmoczył.

-Dobry Boże! - wykrzyknęła i szybko złapała kawałek gazety, żeby wytrzeć.

Kiedy pochyliła się w ten sposób, chłopcu przyszła na myśl tamta kobieta, ta jej gorącość. Zawstydzil się i potrząsnął głową. Nagle przypomniało mu się jej imię: Lucille - podała mu je, kiedy znaleźli się na podłodze. Właśnie się w nią wślizgiwał, gdy otworzyła oczy i szepnęła: „Na imię mi Lucille”. Matka wyjęła miskę wczorajszych klusek i postawiła ją na podłodze. Szczeniak podniósł łapkę, przechylił miskę, wylewając przy tym rosół z dna, a potem zaczął wylizywać linoleum.

Lubi rosół z kury! - ucieszyła się matka. Natychmiast uznała, że prawdopodobnie polubi także jajko, i wstawiła wodę na ogień.

Szczeniak jakimś sposobem zrozumiał, że to jej powinien się trzymać, i dreptał za nią tam i z powrotem od piecyka do lodówki.

- Chodzi za mną! - roześmiała się uszczęśliwiona matka.

Następnego dnia, wracając ze szkoły, zatrzymał się przy sklepie z narzędziami i kupił szczeniakowi obrożę za siedemdziesiąt pięć centów, przy czym pan Schweckert dorzucił mu jeszcze kawałek sznura do bielizny na smycz. Co wieczór przy zasypianiu chłopiec wydobywał Lucille z pamięci jak jakiś sekretny skarb ze specjalnej szkatułki i zastanawiał się, czy odważyłby się do niej zadzwonić i może nawet znów z nią być. Szczeniak, któremu nadał imię Rover, zdawał się rosnać jak na drożdżach, chociaż nadal nie zdradzał żadnych cech buldoga. Ojciec chłopca uważał, że pies powinien mieszkać w piwnicy, ale ten czuł się tam chyba bardzo osamotniony, bo cały czas ujadał.

- Tęskni do mamy - zauważyła matka, więc chłopiec co wieczór wkładał go do starego kosza na bieliznę wyłożonego szmatami, a kiedy to nie pomogło, pozwolono mu układać pieska w kuchni na jakichś szmatach, i wszyscy byli wdzięczni za ciszę. Matka próbowała wyprowadzać go na spokojną uliczkę, przy której mieszkali, ale szczeniak wciąż oplątywał jej sznurek wokół nóg, a ponieważ bała się zrobić mu krzywdę, dreptała za nim zygzakiem, co bardzo ją męczyło. Nie zawsze tak się zdarzało, ale jednak dość często, że kiedy chłopiec patrzył na Rovera, myślał o Lucille i niemal czuł znowu jej gorącość. Siadywał na ganku, głaszcząc szczeniaka, i myślał o niej - o wnętrzu jej ud. Wciąż nie umiał wyobrazić sobie jej twarzy, tylko te długie czarne włosy i mocną szyję.

Pewnego dnia matka upiekła ciasto czekoladowe i postawiła je do wystygnięcia na kuchennym stole. Miało może kilkanaście centymetrów grubości, ale chłopiec wiedział, że jest pyszne. Ostatnio dużo rysował - łyżki, widelce, paczki papierosów, czasem także chińską wazę ze smokiem, wszystko, co miało interesujący kształt. Przeniósł więc ciasto na krzesło i zajął się rysowaniem. Po pewnym czasie wstał, z jakiegoś powodu wyszedł na dwór i zainteresował się posadzonymi jesienią tulipanami, które teraz zaczęły wystawiać z ziemi kielki. Potem postanowił odszukać prawie nową piłkę do baseballu - zapomniała mu się gdzieś w lecie, a teraz doszedł do wniosku, że musi być w piwnicy, w tekturowym pudle. Właściwie nigdy nie dogrzebał się do dna tego pudła, zawsze przedtem znajdował w nim jakiś dawno zapomniany przedmiot i poświęcał mu całą uwagę. Zaczął schodzić do piwnicy od zewnątrz, przez wejście pod tylnym gankiem, gdy zauważył, że grusza, którą zasadził dwa lata wcześniej, ma na jednej z wiotkich gałązek coś, co wygląda na kwiatek. Zdumiało go to i wbiło w dumę - poczuł, że odniósł sukces. Za drzewko zapłacił na Gourt Street trzydzieści pięć centów, a następne trzydzieści za jabłonkę, którą posadził niecałe trzy metry dalej, żeby móc kiedyś rozwiesić między nimi hamak. Na razie oba drzewka były na to za młode i za cienkie, ale może za rok? Zawsze uwielbiał się im przyglądać - w końcu to on je zasadził - czuł, że wiedzą

o tym i nawet odwzajemniającego spojrzenie. Tylne podwórko kończyło się trzymetrowym drewnianym płotem, otaczającym *Erasmus Field*\*. W weekendy grywały tam półzawodowe i podwórkowe drużyny - Dom Dawidów,

\* Znane na Brooklynie ogólnodostępne boisko do gier sportowych (wszystkie przypisy tłumaczki)

Czarni Jankesi i ta z Satchelem Paige'em, który zasłynął jako jeden z najlepszych miotaczy w kraju, tylko że był Murzynem, więc oczywiście nie mógł grać w największych ligach. W Domu Dawidów wszyscy mieli długie brody - chłopiec nie rozumiał dlaczego, może byli ortodoksyjnymi Żydami, choć wcale na to nie wyglądali. Po jakimś wyjątkowo długim nieczystym strzale nad prawym polem piłka mogła spaść na podwórko, i to właśnie ją zapragnął odszukać teraz, kiedy z wiosną zrobiło się cieplej. W suterenie znalazł pudło i od razu zaskoczyło go, jak niesamowicie ostre są łyżwy; przypomniał sobie, że raz wpadł na sprytny pomysł, aby je spiąć bokami i pocierać kamieniem ich ostrza. Odsunął na bok kolczastą rękawicę łapacza, potem zgubioną przez kolegę rękawicę bramkarza hokejowego, kilka zużytych ołówków i drewnianego ludzika, którego ręce podnosiły się i opadały przy pociągnięciu za sznurek. Nagle z góry dobiegło ujadanie szczeniaka - ale brzmiało inaczej niż zwykle, bardzo ostro i głośno. Chłopiec ruszył biegiem po schodach; zobaczył, że matka schodzi właśnie z piętra do salonu w rozwianym szlafroku i z wystraszoną miną. Usłyszał skrobanie pazurków po linoleum i wpadł do kuchni. Szczeniak biegał w kółko, poszczekując, i chłopiec od razu zauważył jego napęczniały brzusek. Na podłodze leżały resztki ciasta.

- Moje ciasto! - krzyknęła matka, podnosząc wysoko talerz, jakby to miało uratować ciasto, choć właściwie prawie nic z niego nie zostało.

Chłopiec próbował złapać Rovera, ale piesek wyśliznął mu się i uciekł do salonu. Matka ruszyła za nim.

-Dywan! - jęknęła.

Rover nadal biegał, zataczając teraz, na większej powierzchni, coraz szersze kręgi. Na jego pysku ukazała się piana.

- Dzwoń na policję! - wrzasnęła matka.

Nagle piesek upadł i leżał na boku, sapiąc i popiskując za każdym oddechem. Ponieważ nigdy dotąd nie mieli psa i nie znali żadnych weterynarzy, chłopiec zajrzał do książki telefonicznej, znalazł numer ASPCA\* i tam zadzwonił. Bał się teraz dotknąć Rovera, bo kiedy podszedł bliżej, piesek Chapman go w rękę, no i miał na pysku pianę. Kiedy samochód zjechał przed dom, chłopiec wyszedł na zewnątrz i zobaczył młodego gościa, który wyjmował z tyłu klatkę. Chłopiec powiedział mu, że pies zjadł prawie całe ciasto, ale facet nie okazał zainteresowania. Wszedł do domu, postać chwilę nad Roverem, który wydawał cichutkie piski, nadal leżąc na boku. Mężczyzna narzucił na niego jakąś siatkę, a kiedy wsadził go do klatki, szczeniak próbował uciec.

Jak pan myśli, co mu jest? - spytała matka z wyrazem obrzydzenia, które chłopiec także w tej chwili odczuwał.

- To mu jest, że zjadł ciasto - odparł mężczyzna. Potem wyniósł klatkę z domu i wsunął ją w czeluść vana.

- Co pan z nim zrobi? - zapytał chłopiec.

- A chcesz go? - odburknął mężczyzna.

- Nie możemy go trzymać - zawołała matka, która stała pod daszkiem i słyszała tę wymianę zdań. - Nie umiemy obchodzić się z psem, może weźmie go ktoś, kto się na tym zna.

Młody człowiek kiwnął obojętnie głową; to wyjaśnienie też go nie zainteresowało. Siadł za kierownicą odjechał.

Chłopiec z matką odprowadzali wzrokiem vana, póki nie zniknął za zakrętem.. W domu znów panowała grobowa cisza. Nie musiał się już martwić, że Rover robi coś z dywanem albo obgryza meble, że musi się załatwić czy trzeba go nakarmić. Codziennie po powrocie ze szkoły sprawdzał, co się z nim dzieje, to Rovera widział jako pierwszego zaraz po obudzeniu i zawsze się martwił, czy piesek nie naraził się czymś matce albo ojcu. Teraz cały ten niepokój zniknął, ale wraz z nim zniknęła też przyjemność i w domu zrobiło się cicho.

Chłopiec wrócił do kuchennego stołu i zastanawiał się, co by tu narysować. Na krześle leżała gazeta; otworzył ją i zobaczył reklamę pończoch Saksa: kobieta rozsuwała szlafrok, ukazując nogę. Zaczął ją kopiować i znów przyszła mu na myśl Lucille. Może by do niej zadzwonić? Może zrobiliby jeszcze raz to, co wtedy? No tak, tylko ona na pewno zapyta o Rovera i będzie musiał nakłamać. Przypomniał sobie, jak tuliła psiaka w ramionach i nawet

---

\* American Society for the Prevention of Cruelty to Animals - Amerykańskie Stowarzyszenie przeciwko Okrucieństwu wobec Zwierząt.

pocałowała go w nosek. Naprawdę kochała tego szczeniaka, więc jak mógłby jej powiedzieć, że już go nie ma? Już od samych myśli o niej stwardniał jak kij od miotły i nagle wpadł na pomysł. Zadzwoni i powie, że rodzina chciałaby wziąć tego drugiego szczeniaka, do towarzystwa Roverowi... Ale wtedy będzie musiał udawać, że Rover nadal jest u nich, to byłyby już dwa kłamstwa, co trochę go przerażało. Nie tyle same kłamstwa, ile konieczność pamiętania, że po pierwsze, ma jeszcze Rovera, po drugie, że myśli poważnie o drugim szczeniaku, wreszcie po trzecie i najgorsze, że kiedy już wstanie z Lucille, będzie musiał powiedzieć prawdę: niestety, nie weźmie drugiego pieska, bo... Bo co? Myśl o tych wszystkich kłamstwach wykańczała go. Potem znów sobie wyobraził, że jest zanurzony w jej gorącości, i wydało mu się, że głowa mu zaraz eksploduje... Właściwie Lucille mogłaby się uprzeć, by wziął tego szczeniaka. Wmusić mu go. Przecież nie przyjęła wtedy jego trzech dolarów i chłopiec dostał Rovera jakby w podarunku. Byłoby krępujące odmawiać, zwłaszcza jeśli przyszedłby niby specjalnie w tym celu. Nie, nie odważyłby się przejść przez to wszystko, a potem zrezygnować. Ale znów pojawiła się ta uparta myśl o niej, rozłożonej na podłodze jak wtedy... I znów zaczął szukać pretekstu, żeby nie brać szczeniaka mimo tej całej drogi na drugi koniec Brooklynu. Już widział jej minę, gdy odmawia - zaskoczona, może wręcz wrogą. Tak, mogłaby się zezłościć i przejrzeć jego intencje, zrozumieć, że przyszedł tylko po to, aby w nią wejść, a reszta to gadka szmatka. Mogłaby się obrazić, może nawet wymierzyć mu policzek. Co wtedy? Przecież nie będzie się bił z dorosłą kobietą. Ale nagle przyszło mu do głowy co innego: może Lucille sprzedała już tamte dwa pieski, w końcu trzy dolary to naprawdę niezła cena. I co? To może zadzwonić i powiedzieć po prostu, że chce się z nią zobaczyć, bez wspomnienia o pieskach? Będzie go to kosztowało tylko jedno kłamstwo, że nadal ma Rovera, że cała rodzina go uwielbia i takie tam. Tyle to z łatwością zapamięta. Podeszedł do pianina i zagrał kilka akordów, głównie w ciemnych basach, żeby ochłonąć. Tak naprawdę nie umiał grać, ale uwielbiał wynajdywać akordy i pozwalać, by wibracje przenikały mu do ramion. Grał, czując, jakby coś w jego wnętrzu wrywało się na wolność albo kompletnie się osuwało. Był teraz inny niż przedtem, już nie pusty i łatwy do przejrzenia, tylko obciążony sekretami i kłamstwami - tymi wypowiedzianymi i tymi przemilczanymi. Wszystko to było dostatecznie obrzydliwe, by postawić go ździebko poza rodziną, w miejscu, gdzie mógłby ich teraz obserwować i obserwować siebie ich oczami. Próbował zagrać prawą ręką jakąś melodię i dobrać do niej akompaniament lewą. Miał szczęście - wyszło mu coś pięknego. To zadziwiające, jak akompaniament, odrobinę odbiegający od melodii, na granicy dysharmonii, mimo to korespondował z melodią wygrywaną przez prawą rękę. Do salonu weszła wyraźnie zaskoczona matka.

- Co się stało? - spytała z zachwytem. Umiała grać, próbowała też chłopca uczyć, ale bez powodzenia, bo jej zdaniem miał za dobre ucho i wolał grać, niż męczyć się mozolnym czytaniem nut.

Stała teraz przy nim, patrząc mu na ręce. Ubawiona, marząc, jak zawsze, że chłopiec wyrośnie na geniusza, roześmiała się z radości.

- Sam to wymyślasz? - niemal krzyknęła, jakby siedzieli obok siebie w diabelskim młynie.

Mógł tylko skinąć głową. Bał się odezwać, żeby nie stracić tego, co j jakimś cudem wychwycił z powietrza, ale śmiał się razem z nią, gdyż był tak doskonale szczęśliwy z powodu tej sekretnej przemiany, a zarazem niepewny czy kiedykolwiek jeszcze potrafi tak zagrać. Mógł tylko skinąć głową. Bał się odezwać, żeby nie stracić tego, co jakimś cudem wychwycił z powietrza, ale śmiał się razem z nią, gdyż był tak doskonale szczęśliwy z powodu tej sekretnej przemiany, a zarazem niepewny czy kiedykolwiek j jeszcze potrafi tak zagrać.

## **Występ**

Kiedy go poznałem, Harold May mógł mieć około trzydziestu pięciu lat. Z blond włosami rozdzielonymi dokładnie pośrodku, w rogowych okularach na zdecydowanie okrągłych, chłopięcych oczach przypominał Harolda Lloyda, słynnego komika filmowego o wiecznie zdziwionym spojrzeniu. Myśląc o Mayu teraz, mam przed oczami mężczyznę o różowych policzkach, w szarym garniturze w białe prążki i krawacie w czerwono-niebieskie paski - smukły tancerz o zwężonej budowie i lekkich krokach, a poza tym, jak większość tancerzy, niewidzący świata poza swoją sztuką, można powiedzieć zmumifikowany w niej. Przynajmniej na pierwszy rzut oka taki się wydawał. Widzę nas razem w wielkomińskiej drogerii z lat czterdziestych, takiej ze stolikami, gdzie

można było spędzić wolną godzinę przy wodzie sodowej czy lodach. May przymierzał się do opowiedzenia jakiejś długiej, intrygującej historii, ja zaś nie rozumiałem, po co zadaje sobie tyle trudu. Stopniowo dotarło do mnie, że chce mnie zainteresować, bo zależy mu, abym napisał o nim artykuł. Przyprosił go do mnie mój stary przyjaciel Ralph Barton [ne Berkowitz], myśląc, że ta niesamowita historia do czegoś mi się przyda, chociaż jakiś czas temu porzuciłem dziennikarstwo i przestałem wysiadywać w drogeriach czy barach; byłem już zbyt znanym pisarzem, by dawać się nagabywać ludziom w restauracjach albo na ulicy. To wydarzyło się prawdopodobnie wiosną, zaledwie dwa lata po wojnie.

Jak opowiedział mi tamtego popołudnia Harold May, w połowie lat trzydziestych zatrudniał się tylko dorywczo. Miał opracowany numer ze stepowaniem, tak zwany *tap dance*, z którym dwa razy wystąpił w Palace na Broadwayu. Chociaż niemal zawsze zbierał entuzjastyczne notki w „Variety”, nigdy do końca nie wyrzekł się wiernej, lecz niewielkiej widowni w miejscach takich jak Queens, Toledo, Ohio i Erie czy Tonawanda w Nowym Jorku.

- Ci, co wiedzą, jak dopasowywać do siebie różne elementy, mają też żyłkę do stepowania - rzekł. Wyraźnie mu pochlebiało, że szczególnie robotnicy stalowni upodobali sobie tę sztukę, podobnie jak maszyniści, dmuchacze szkła - niemal każdy, kto cenił sobie sprawność. W roku trzydziestym szóstym jednak Harold był pewien, że jeśli chodzi o karierę, to już uderzył głową o sufit. Tak go to załamało, że gdy otrzymał ofertę występu na Węgrzech, rzucił się na nią skwapliwie, chociaż nawet nie wiedział dobrze, gdzie właściwie leży ten kraj. Wkrótce dowiedział się, że tak zwany objazdowy wodewil działa w Budapeszcie, Bukareszcie, Atenach i jeszcze paru wschodnioeuropejskich miastach z Wiedniem na czele, a dzięki tak prestiżowemu angażowi zapewnił sobie świetną reklamę. Numer raz wpisany do repertuaru utrzymywał się na scenie przez okrągły rok, trafiając raz po raz do tych samych klubów.

- Nie lubią zbyt wielkich zmian w repertuarze - wyjął.

*Tap* jednak stanowił prawdziwą nowość. Ten nieznaną w Europie czysto amerykański taniec, wymyślony przez Murzynów z Południa, oczarował rzesze Europejczyków tym, co uważano za zabawnie optymistyczną amerykańską atmosferę.

Harold pracował w wodewilu około ośmiu miesięcy.

- Praca - tłumaczył mi przy białym marmurowym stoliku - była stabilna, pieniądze całkiem przyzwoite, a w niektórych krajach, na przykład w Bułgarii, uważano nas za prawdziwe gwiazdy. Daliśmy wstęp do kolacji w paru zamkach, kobiety nie dawały nam spokoju, i to wino... Nie wyobrażałem sobie większego szczęścia.

Ze swoją małą trupą, złożoną oprócz niego z dwóch mężczyzn i kobiety plus pianista z doskoku i czasem niewielki zespół muzyczny, rozkręcił całkiem efektywny biznes. Wciąż młody i niezonaty, przez całe krótkie życie skoncentrowany na nogach, butach i upartych marzeniach o chwale, sam siebie zaskakiwał radością, jaką czerpał ze zwiedzania miast i wyrывkowego pozyskiwania wiedzy na temat historii Europy oraz sztuki. Ukończył tylko szkołę średnią Evander Childs<sup>3</sup> i nigdy nie miał czasu sięgnąć myślą dalej niż poza swój kolejny występ, więc Europa otworzyła mu oczy na przeszłość, o której istnieniu w ogóle nie miał pojęcia.

Pewnej nocy w Budapeszcie, kiedy syty chwały zmywał z twarzy makijaż w obskurnej garderobie klubu La Babalu, w progu stanął nagle wysoki, dobrze ubrany dżentelmen. Skłoniwszy się lekko, przedstawił się po angielsku z niemieckim akcentem i spytał grzecznie, czy mógłby zająć Mayowi kilka minut jego cennego czasu. Harold wskazał mu miejsce na fotelu obitym obszarpanym różowym aksamitem.

Niemiec miał około czterdziestu pięciu lat, błyszczące, siwe, doskonale ostrzyżone włosy, nosił elegancki zielonkawy, dość gruby garnitur i czarne buty o sztywnych noskach. Nazywał się Damian Fugler i występował w swej oficjalnej funkcji attaché kulturalnego niemieckiego ambasady w Budapeszcie. Mimo akcentu posługiwał się nieskazitelnym angielskim.

„Miałem przyjemność obejrzeć trzy pańskie występy - zaczął rozwibrowanym barytonem - i przede wszystkim chciałbym wyrazić swój szacunek dla tak świetnego artysty”.

---

3 Publiczna szkoła usytuowana w nowojorskim Bronksie, skupiająca doświadczone młodzież.

Nikt nigdy jeszcze nie nazwał Harolda artystą.

„E... tego... dzięki za komplement” - zdołał wykrztusić May. Wyobrażam sobie, jak bardzo temu różowolicemu chłopakowi z Berea w Ohio pochlebiali wyrazy uznania wytwornego Europejczyka w butach o sztywnych noskach.

„Ja osobiście występowałem w stuttgarckiej operze, chociaż nie jako śpiewak, rzecz jasna, tylko tak zwany halabardnik. Minęło sporo czasu, byłem znacznie młodszy... (Fugler skwitował przeproszającym uśmiechem te wybryki młodości). Ale przejdźmy do rzeczy. Panie May, upoważniono mnie do zaproszenia pana na występ w Berlinie. Mój departament gotów jest pokryć koszty pańskiej podróży i hotelu”.

Zapierająca dech wizja rządu - jakiegokolwiek rządu - zainteresowanego *tap dance'em*, wykraczała poza wyobraźnię Harolda, toteż potrzebował dobrej chwili, by ją przetrwać czy chociaż w nią uwierzyć.

„No... właściwie sam nie wiem, co powiedzieć. Gdzie miałbym wystąpić, w jakimś klubie czy...?”

„WKick Clubie. Musiał pan o nim słyszeć?”

Harold słyszał o Kick Clubie - jednym z najelegantszych w Berlinie. Serce łomotało mu w piersi, ale doświadczenie podpowiadało, żeby trochę pokrążyć wokół propozycji.

„Jak długi angaż wchodzi w grę?”

„Prawdopodobnie chodzi o jeden występ”.

„Jeden?”

„My wymagamy tylko jednego, ale jeśli dogada się pan z dyrekcją do dalszych, nie będziemy stawiać przeszkód. Jesteśmy gotowi zapłacić panu za ten wieczór dwa tysiące dolarów, jeśli to pana satysfakcjonuje”.

Dwa tysiące za jeden wieczór! To praktycznie roczna gaża. Haroldowi zakręciło się w głowie. Wiedział, że musi zadać dalsze pytania, ale jakie?

„Apan jest...? Przepraszam, ale zechce pan powtórzyć?”

Fugler wyjął z kieszeni marynarki elegancki czarny wizytownik ze skóry i wręczył Haroldowi kartę. Tancerz daremnie próbował coś odczytać, gdyż wytłoczona sylwetka orła ze swastyką w szponach wbiła mu się w mózg niczym strzała.

„Czy mógłbym odpowiedzieć jut...” - zaczął, ale miodowy baryton wpadł mu zaraz w słowo.

„Obawiam się, że rano musi pan wyjechać. Załatwiłem wszystko z dyrekcją, zwolnię pana z kontraktu, jeśli wyrazi pan zgodę”.

Zwolnię go z kontraktu!

- Miałem wrażenie - zwierzał mi się nad do połowy opróżnioną szklanką z *chocolate-soda* - że stałem się przedmiotem rozmów jakichś niezidentyfikowanych, wysoko postawionych osób. Przerazało mnie to, ale także dawało poczucie ważności - roześmiał się jak psotny chłopiec.

„Mogę zapytać, skąd taki pośpiech?”

„Niestety nie wolno mi powiedzieć nic poza tym, że moi mocodawcy nie będą mogli obejrzeć przedstawienia przez kilka tygodni, może nawet miesięcy po czwartku. - Nagle gość pochylił się nad kolanami Harolda, tak że niemal dotykał jego twarzy, i zniżając głos do szeptu, dodał: - To może zmienić pańskie życie, panie May. Nie ma nad czym się zastanawiać.

Wobec dwóch dyndających mu przed nosem patoli Harold usłyszał swój głos:

„W porządku”.

Całe spotkanie wydało mu się tak niesamowite, że natychmiast zaczął się wycofywać, prosić o więcej czasu, ale Niemiec już zniknął. Harold zorientował się, że trzyma w ręku pięćsetdolarowy banknot i mgliście przypomniał sobie baryton z niemieckim akcentem:

„To w ramach zaliczki. Azatem Berlin! *Auf Wiedersehen!*”.

- W ogóle nie zaoferował mi kontraktu opowiadał Harold. - Po prostu wręczył gotówkę.

Prawie nie spał tej nocy, wymyślając sobie w duchu: Myślisz, że jesteś panem siebie, ale ten Fugler był jak huragan! Najbardziej jednak niepokoiło go to, że zgodził się na pojedynczy występ. O co tu chodzi?

- Przez całe miesiące nie zwracałem sobie głowy tym, co się wokół mnie działo. Nawet nie próbowałem niczego zrozumieć. To znaczy nie znałem ani słowa po węgiersku, rumuńsku, bułgarsku czy niemiecku - ale pojedynczy występ? Nijak nie mogłem wykombinować, co to oznacza. -1 po co ten pośpiech, zachodziłem w głowę. Klnę się na Boga, że wolałbym nie brać tych pieniędzy, a jednocześnie strasznie byłem ciekaw, co z tego wyniknie.

Trochę mu ulżyło, gdy trupa z entuzjazmem powitała okazję do wyrwania się z Bałkanów oraz to, że podzielił się z nimi częścią zaliczki. W pociągu pędzącym na północ wszystkich aż rozsadzało z przejęcia tą niezwykłą przygodą. Perspektywę występów w Berlinie - stolicy Europy zaraz po Paryżu - traktowali jak zaproszenie na bankiet. Harold zamówił szampana i steki, żeby zrelaksować się trochę w grupie kolegów i zagłuszyć niepokój. W miarę jak tłukli się na północ, przeciwstawiał swoje szczęście sytuacji, w jakiej prawdopodobnie znalazłby się, gdyby został w Nowym Jorku z jego rzeszami bezrobotnych i niedającym się przezwyciężyć kryzysem.

Kiedy pociąg stanął na niemieckiej granicy, do przedziału wszedł funkcjonariusz straży granicznej. Oprócz Harolda siedział tam Benny Worth, jego najdawniejszy partner, i dwóch wciąż śpiących Rumunów, którzy budzili się od czasu do czasu, uśmiechali się przelotnie i znów zapadali w sen. Pogranicznik otworzył paszport Harolda i się skrzywił; przy każdym przekraczaniu granicy w tej podróży strażnicy się krzywili, ale kwaśna mina Niemca poruszyła coś w głębi jego jestestwa. Nie tylko dlatego, że nagle przypomniał sobie swoje żydowskie pochodzenie. W zasadzie nie miewał z tym problemów, zwłaszcza przy swoich blond włosach, niebieskich oczach i generalnie pogodnym usposobieniu, które to cechy nigdy nie budziły reakcji typowych dla tej epoki. Aż do tej pory udawało mu się wymazywać z głowy niemal wszystkie wyczytane historie sprzed roku na temat nowego niemieckiego rządu: że organizował wiece przeciwko Żydom, usuwał ich z posad i biznesu, zamykał synagogi, zmuszał do emigracji. Z drugiej strony Benny Worth, który uważał się za komunistę i dysponował informacjami niedostępnymi w oficjalnej prasie, takiej jak „New York Times”, mówił mu, że naziści usuwają w tym roku wszelkie antyżydowskie materiały, aby nie narażać się turystom przed olimpiadą. W każdym razie nic z tego nie dotyczyło jego osobiście.

- Słyszałem jakieś historie o paru incydentach w Rumunii, ale na własne oczy nic nie widziałem, więc też puszczałem je mimo uszu - tłumaczył mi Harold. To akurat rozumiałem: w końcu nie miał werbalnego kontaktu ze swą widownią, nie czytał lokalnej prasy, dlatego z pewnym dystansem podchodził do wszystkiego, co działo się w odwiedzanych przez niego miastach.

W gruncie rzeczy jego jedyne wrażenie związane z Hitlerem pochodziło z kroniki filmowej, która kilka miesięcy wcześniej pokazała, jak opuszczał stadion olimpijski, gdy Jesse Owens, murzyński biegacz, wchodził na podium po swój czwarty złoty medal.

- Bardzo niesportowo się zachował zauważył Harold - ale spójrzmy prawdzie w oczy: coś takiego mogło się zdarzyć w wielu miejscach.

Prawda wyglądała tak, że Harold w ogóle nie miał głowy do polityki. W jego życiu liczyło się stepowanie, kolejne kontrakty, jadalne potrawy na stole i interesy trupy, tak aby się nie rozleciała, a on nie musiał trenować następców. Oczywiście z amerykańskim paszportem w kieszeni zawsze miał swobodę ruchu, mógł wrócić na Bałkany czy nawet do kraju, gdyby doszło do najgorszego.

Do Berlina przyjechali we wtorek wieczorem. Od razu po wyjściu z wagonu zostali powitani przez dwóch panów - jeden był w garniturze podobnym do tego, jaki nosił Fugler, tylko granatowym, a nie zielonym, a drugi w czarnym mundurze z białymi wypustkami na klapach.

- Pan Fugler oczekuje pana - oznajmił ten w mundurze. Harold od razu wyczuł własną ważność i z trudem opanował dreszczyk emocji; zwykle razem z resztą kompanii wynurzał się z wagonu, wlokąc ciężkie, skórzane bagaże, a jednocześnie zmagając się z trudnościami idiotycznego obcego języka, aby poinstruować tragarzy i wynająć taksówkę, przeważnie w strugach deszczu. Tutaj poprowadzono ich do mercedesa, który potoczył się

majestatycznie do najlepszego w Berlinie, a może i całej Europie, hotelu Adlon. Zanim Harold dokończył w zaciszu swego pokoju samotny obiad złożony z ostryg, *osso buco*, placków ziemniaczanych i rieslinga, pogrzebał swoje skrupuły w fantazjach, na co wyda taką górę forsy, i był gotów do pracy.

Fugler pojawił się nazajutrz przy śniadaniu. Na scenę wchodzi o północy, rzekł, i aż do ósmej, kiedy zaczynają się regularne występy, mają klub do dyspozycji na próby. Tym razem wydał się Haroldowi lekko podekscytowany.

- Wyglądał, jakby chciał mi się rzucić na szyję - opowiadał. - Tak dobrze się z nim dogadywałem, że przyszło mi do głowy zapytać wreszcie, dla kogo będziemy tańczyć. Ale on tylko się uśmiechnął i wyjaśnił, że względy bezpieczeństwa zabraniają mu udzielać takich informacji. Wyraził też nadzieję, iż to rozumiem. Szczerze mówiąc, Benny Worth wspominał wcześniej o przyjeździe do Berlina księcia Windsoru, więc zastanawialiśmy się, czy czasem nie chodzi o niego, skoro j est tak spoufałony z Hitlerem.

Skończywszy śniadanie, pojechali do klubu, gdzie skonfrontowano ich z sześćciosobowym zespołem muzyków. Tylko jeden z nich miał mniej niż pięćdziesiątkę - syryjski pianista Mohammed, młody pistolet o fantastycznie długich brązowych palcach, pokrytych pierścieniami. Znał trochę angielski, więc tłumaczył uwagi Harolda reszcie zespołu. Rozkoszując się nowo zdobytym autorytetem, odgrywał się na niemieckich kolegach, którym od miesiący starał się bez powodzenia narzucić swoje tempo. Znali „Swanee River”, więc Harold chciał, by spróbowali tego jako akompaniamentu, ale byli tak beznadziejnie drętwi, że wznosząc się na szczyty dyplomacji, wycofał ze składu skrzypka i akordeonistę, a pozostawił tylko perkusistę i pianistę, co dało całkiem znośne rezultaty. Około południa zaczęli się schodzić kelnerzy i personel kuchenny; Harold ze swą trupą zyskał dzięki temu niespodziewaną widownię, która, obstąpiwszy wkoło ćwiczących swoje kawałki tancerzy, polerowała jednocześnie srebro. Taniec dla zachwyconych kelnerów był zupełnie nowym doświadczeniem i trupa zaczęła czuć się bosko. Na lunch - też pierwsza klasa - podano im w oddzielnym pokoju pieczonego pstrąga z winem, świeże, mocno wypieczone bułeczki i tort czekoladowy z fantastyczną kawą. O wpół do trzeciej byli z powrotem na nogach, choć nieco senni. Na drzemkę do hotelu zawieziono ich samochodem. Obiad, rzecz jasna darmowy, mieli zjeść w klubie.

Harold przez dłuższy czas leżał nieruchomo w ogromnej marmurowej wannie, jak zwykle przed występem, zażywając gorącej kąpieli. „Pozłacane baterie, kilkumetrowe ręczniki” - opowiadał. Bezprecedensowa czolobitność kelnerów wobec niego i całej trupy nasunęła mu podejrzenie, że dzisiejsza publiczność będzie się składać z wysoko postawionych nazistowskich polityków. Hitler? Tylko nie to! Porażony własną głupotą nie mógł sobie darować, że nie wycisnął z Fuglera tej informacji. Powinien zwęszyć problem już w chwili, gdy dowiedział się, że chodzi o pojedynczy występ. Sparaliżowała go nieśmiałość, która, jak sądzę, była jego przekleństwem przez całe życie. Zanurzył się z głową pod wodę, zamierzając się utopić, ale ostatecznie zrezygnował. A jeśli odkryją, że jest Żydem? Z zamkniętych dotąd zakamarków umysłu wypełzły obrazy prześladowań, które wcześniej widywał w gazetach, i zaczęły przesuwac mu się przed oczami. Przecież nie ośmielą się zaatakować Amerykanina! Błogosławiąc w duchu swój paszport, wyszedł z wanny i tak, jak stał, prosto z wody, ze ściśniętym żołądkiem, sprawdził, czy nadal ma go w kieszeni marynarki. Rozkoszując się dotykiem puszystego ręcznika, jeszcze silniej odbierał absurdalność całej sytuacji. Czy nie powinien czuć raczej niepokoju niż radosnego podniecenia na myśl o zbliżającym się występie? Kiedy stojąc przy wysokim oknie z atlasowymi draperiami i wiążąc muszkę, patrzył w dół na ruchliwą ulicę nowoczesnego miasta, pełną elegancko ubranych przechodniów, którzy zatrzymywali się przy wystawach sklepowych, pozdrawiali się, uchylali kapeluszy czy czekali na zmianę świateł, uświadamiał sobie szaleństwo, w jakie popadł. Był jak kot, który dał się zagonić na drzewo, bo przestraszył się czegoś, co mogło się okazać tylko markizą łopoczącą na wietrze.

- Mimo wszystko miałem na uwadze słowa Beriny'ego Wortha, że dni nazistów są policzone, gdyż robotnicy wkrótce usuną ich z urzędów, więc jeszcze była jakaś nadzieja.

Zdecydował się ściągnąć trupę do swojej garderoby. Paul Gamer i Benny Worth stali w swych smokingach,

Carol Conway w płomiennie- czerwonej seksownej kreacji, wszyscy lekko podminowani, gdyż nigdy dotąd nie urządził zebrań przed występem. „Niczego nie gwarantuję, ale przyszło mi do głowy, że być może dzisiaj tańczymy dla pana Hitlera” - oznajmił.

Niemal spuchli z dumy na myśl o sukcesie. Benny Worth, urodzony gracz drużynowy, zacisnął swą wielką pięść i błyskając diamentowym pierścieniem, którym nieraz dał odpór natrętom, zagrzmiął ochrypłym od cygar głosem:

„Nie przejmuj się tym sukinsynem”.

Carol, zawsze skora do płaczu, spojrzała na Harolda oczami pełnymi

„Ale czy oni wiedzą, że ty...”.

„Nie wiedzą- przerwał jej Harold. - Ale jutro rano zwijamy się stąd z powrotem do Budapesztu. Po prostu nie chciałem, żebyście się ugotowali na jego widok. Tańczymy to samo co zawsze, a jutro wsiadamy do pociągu”.

Nad okrągłą sceną w klubie wisiał masywny kandelabr z migoczącymi światełkami, co irytowało Harolda, który w ogóle nie znosił, jak cokolwiek dyndało mu nad głową podczas tańca. Ściany były różowe z mauretańskimi motywami, blaty stołów trawiastozielone. Przez otwory za orkiestrą podglądali, jak równo o północy Herr Bix, dyrektor, uciszył muzykę i stanąwszy na scenie, przeprosił licznych gości, że przerywa im taniec. Jest im niezmiernie wdzięczny za przybycie, ale teraz „czuję się w obowiązku” poprosić wszystkich o opuszczenie klubu. Ponieważ normalnie zamykano dopiero około drugiej, goście zrozumieli, że zdarzył się jakiś nagły wypadek, w dodatku słowo „obowiązek” sugerowało coś związanego z reżimem, toteż parę setek ludzi wysypało się na ulicę praktycznie bez większych protestów.

Jedni odeszli pieszo, inni powsiadali do taksówek, znalazło się także trochę maruderów, którzy, stojąc przy krawężniku, obserwowali z nabożnym lękiem słynny długi mercedes w asyście kilku czarnych aut z przodu i z tyłu, który pojął się i skręcił w uliczkę za klubem.

Harold z resztą trupy patrzyli ze zdumieniem przez otwory w kurtynie, jak dwudziestka oficerów w mundurach otoczyła wodza, któremu stolik ustawiono tuż przy samej scenie. Razem z nim siedział niesamowicie gruby, łatwy do rozpoznania Goring, jeszcze jeden oficer oraz Pugler. „W gruncie rzeczy wszyscy byli olbrzymimi mężczyznami

- przynajmniej tak wyglądali w tych swoich mundurach” - ciągnął Harold. Kelnerzy napełniali im szklanki wodą, co przypomniało Haroldowi, też praktycznie niepijącemu, o rzekomym wegetarianizmie Hitlera. Bix, dyrektor Kicku, który miotał się wokół sceny, dotknął teraz ramienia Harolda. Mohammed, już nie pochylony jak zwykle nad klawiaturą, tylko sztywno wyprostowany, odebrał także sygnał od Biksa i razem z perkusistą rozpoczął „Tea for Two”. Harold był już na scenie. Trudno o prostszy numer: solo na miękkich podszwach, przestępowanie z nogi na nogę, potem, przy trzecim akordzie, Worth i Gamer wchodzą jeden z lewej, drugi z prawej strony, na koniec Carol jako świadoma swych wdzięków kusicielka wygina się omdlewająco wokół coraz to nowych figur. Zerkając na twarz Hitlera, Harold niemal natychmiast uświadomił sobie z zaskoczeniem, że ów straszny człowiek doświadcza czegoś w rodzaju głębokiego zdumienia. Trupa tupą teraz, bębniąc miarowo butami o podłogę sceny, a Hitler jak zahipnotyzowany, siedział wciągnięty bez reszty w dudniący rytm. Zaciśniętymi w pięści dłońmi napierał na blat stolika, szyję miał napiętą, usta lekko rozchylone. „Chyba widzieliśmy go w stanie orgazmu” - opowiadał Harold. Góring, który „zaczynał wyglądać jak wielki tłusty bobas”, uderzał lekko dłonią o stolik, od czasu do czasu wybuchając protekcyjnym śmiechem. Oczywiście reszta świty, podbechtana wyraźną aprobatą przełożonych dla tancerzy, poszła w ich ślady, prześcigając się we wznoszeniu stosownych okrzyków niekłamanego zachwyty. Harold, nie mogąc się oprzeć euforii z powodu takiego triumfu, dosłownie fruwał na czubkach palców. Po tylu strasznych rozterkach ten zaskakujący przyływ brutalnego uznania rozwiął do reszty jego opory, pozwalając, by jego duszą zawładnęła niepodzielnie potęga sztuki.

- Nic nie poradzisz, że czujesz się fantastycznie - wyznał Harold z dziwną mieszanką zakłopotania i triumfu na twarzy - To znaczy... gdy się widziało Hitlera w takim stanie... sam nie wiem, wyglądał jak... dziewczyna.

Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale był taki... delikatny, a zarazem upiorny. - Chyba nie usatysfakcjonowało go to wyjaśnienie, bo urwał gwałtownie i dodał: - W każdym razie mieliśmy ich wszystkich na wyciągnięcie ręki, i to było cholernie przyjemne po tych śmiertelnych obawach... - I zaśmiał się cichutko, czego nie potrafiłem sobie wytłumaczyć.

Numery, powtarzane trzy razy z rzędu na rozkaz coraz bardziej rozentuzjasmowanego wodza, trwały około dwóch godzin. Kiedy trupa zaczęła się kłaniać, Hitler z błyszczącymi oczami wstał z krzesła, skinął im krótko głową na znak uznania, po czym usiadł, znów otoczony aurą czystego autorytetu, i zaczął szeptać z Fuglerem. Na sali zapadła cisza. Nikt nie wiedział, co robić. Świta nerwowo skubała obrusy i popijała wodę, rozglądając się wokoło pustym wzrokiem. Trupą stała na scenie, przestępując z nogi na nogę. Po kilku minutach Worth się zbuntował i zaczął się wycofywać, ale Bix wepchnął go na powrót do szeregu. Hitler był wyraźnie poruszony, w rozmowie z Fuglerem wskazywał raz po raz Harolda, który z resztą trupy stał kilka kroków dalej. Tancerze mieli złączone za plecami dłonie. Przerażona Carol Conway kiwała na wszelki wypadek głową, unosząc kokieteryjnie brwi w stronę mężczyzn w mundurach, ci zaś uśmiechali się do niej z galanterią.

Upłynęło ponad dziesięć minut, kiedy Fugler przywołał gestem Harolda do stolika. Był wyraźnie zdenerwowany, ręka mu drżała, miał wyschnięte, spękane wargi i wzrok lunatyka; w olbrzymim sukcesie, jaki ów człowiek odniósł tego wieczoru, Harold dostrzegł wulkaniczną potęgę Hitlera i po raz kolejny obleciał go strach, ale też dumę, że udało się ją ujarzmić.

- Możesz kpić z niego na odległość, ale powiem ci tyle, że przy bliższym kontakcie wolałbyś, żeby cię lubił. - W uśmiechu, jaki pojawił się po tej uwadze na jego chłopięcej twarzy, zacząłem dostrzegać coś w rodzaju udreki.

Fugler odchrząknął i zwrócił się do Harolda z oficjalną miną:

„O szczegółach pomówimy jutro, ale Herr Hitler pragnie zaproponować panu... - tu przerwał, żeby sobie dokładnie ułożyć w głowie wypowiedź wodza. Ten wciągał właśnie brązowe skórzane rękawiczki, obserwując go z pewnym napięciem, ale i ekscytacją. - Zasadniczo chce, żeby pan stworzył w Berlinie szkołę stepowania. Szkoła ta miałaby działać pod auspicjami nowego departamentu rządowego, nad którym objąłby pan kierownictwo do czasu, aż wykształciłby pan kogoś na swoje miejsce. Pański taniec wywarł na nim głębokie wrażenie. Uważa, że stanowi on kombinację zdrowego, pełnego wigoru treningu, ścisłej dyscypliny i prostoty, co może się okazać znakomite dla dobrego samopoczucia narodu. Przewiduje, że setki, a nawet tysiące Niemców będą mogły stepować jednocześnie na salach i stadionach w całym kraju. Mogłoby to działać inspirująco, wzmocniłoby stalowe więzy jednoczące naród niemiecki, a zarazem podniosłoby znacznie standard ich zdrowia. Są jeszcze inne szczegóły, ale taka jest istota przesłania naszego wodza”.

Tu Fugler z wojskową surowością dał do zrozumienia Hitlerowi, że skończył. Wódz wstał i wyciągnął dłoń w rękawicze do Harolda, który podniósł się na miękkich nogach, zbyt zdenerwowany, by wydobyć z siebie głos. Hitler postąpił krok od stolika, po czym nagłym, ptasim ruchem odwrócił głowę do Harolda i uśmiechnął się do niego zaciśniętymi ustami. Następnie opuścił klub w otoczeniu swojej małej armii tupiącej rytmicznie butami o drewnianą podłogę.

Opowiadając mi to wszystko, Harold May czasem wybuchał śmiechem, ale kiedy indziej widziało się, że wciąż jeszcze jest pod wrażeniem niesamowitego wyróżnienia, jakie go spotkało. W czasie gdy mi to opowiadał, od śmierci Hitlera minęły zaledwie dwa lata, ale cień grozy, jaki wisiał nad nami przez ponad dekadę, niezupełnie ustąpił, a ofiary, że tak powiem, jeszcze nie ostygły w swych grobach. Choć był odrażającym potworem, którego śmierć wszyscy przyjęliśmy z ulgą, jego obecność przypominała chorobę, na którą cierpieliśmy zbyt długo, by móc się z niej tak szybko wyleczyć. Fakt, że okazał się na tyle człowiekiem, by się zatracić w sztuce Harolda i nawet przejawiać pewne artystyczne aspiracje, budził niespokojne myśli i dalszego ciągu tej historii słuchałem z pewnym zakłopotaniem. Mój rozmówca wyglądał teraz nieco inaczej niż na początku, jakby w trakcie opowiadania przybyło mu lat.

- Fugler pokazał się znów następnego dnia przy śniadaniu - podjął swą opowieść Harold - kompletnie

odmieniony. Pieprzony Fuhrer zaproponował mi departament! Mnie we własnej osobie! Fugler także awansował o parę stopni w hierarchii, ponieważ cały ten pokaz był jego pomysłem. Teraz obaj zostaliśmy super *hoch*, wielkimi fiszami! Ledwie mógł usiedzieć na miejscu, gdy omawialiśmy kolejne kroki. Miałem sobie wybrać w Berlinie teren pod szkołę, gdyż upoważniła mnie do tego najwyższa władza, poza tym ktoś z innego departamentu miał wkrótce przyjść, aby przedyskutować moje uposażenie - Fugler sądził, że zaoferują mi co najmniej piętnaście tysięcy rocznie. O mało nie zemdlałem. Cadillac kosztował wtedy tysiąc, a piętnaście to była niewyobrażalna kwota. Odpaliłem piłkę poza stadion!

Razem ze szkołą i ogromną sumą pieniędzy podarowano mu dylemat. Oczywiście mógł po prostu opuścić ten kraj. Ale oznaczałoby to odrzucenie sumy, za którą mógłby kupić sobie dom i samochód, a do tego poważnie pomyśleć o ożenku. Uderzył teraz w głębszy ton:

- Zawsze cierpiałem męki przy ważniejszych decyzjach. Hitler był u władzy zaledwie kilka lat; prawda o obozach i tych wszystkich prześladowaniach jeszcze nie dotarła do nas w pełni, chociaż samo to, co wiedzieliśmy, było wystarczająco złe. Nie, żeby się tłumaczył, ale po prostu nie mogłem szczerze powiedzieć ani tak, ani nie. Widzisz, powrót na Bałkany to niezupełnie to samo co Hollywood, a o objaniu się po Stanach nie chciałem nawet myśleć.

- To znaczy, że przyjąłeś propozycję?

- Przez dwa dni nie zrobiłem nic, włączyłem się tylko sporo po mieście. I nikt mi się nie naprzykrzał. Moim ludziom podobało się w Berlinie, a ja... sam nie wiem, chyba przez cały czas próbowałem coś wykombinować. Rozumiesz, akurat wtedy, jeśli się tylko chodziło po mieście, nic specjalnego się nie działo. Miasto nie różniło się od Londynu czy Paryża, poza tym, że było czystszej. I może widziało się trochę więcej ludzi w mundurach. - Spojrzał mi prosto w oczy. - To znaczy, tak po prostu było.

- Rozumiem - zapewniłem go, chociaż uważałem Hitlera za zbyt koszmarną postać, abym mógł usprawiedliwić nawet najbardziej perwersyjny pociąg do niego samego czy Berlina za jego czasów. I to prawdopodobnie właśnie ta myśl kazała mi zadać sobie pytanie: czy Harold dopuścił się czegoś absolutnie okropnego, na przykład, czy... zakochał się w tym potworze?

Wyglądał teraz na ulicę przez okno drogerii. Wydało mi się, że nie do końca rozumie, jakie wrażenie jego opowieść może wyrzucić na innych. Wynikało to częściowo ze szczególnego charakteru późnych lat czterdziestych; do niektórych, ale bynajmniej nie do wszystkich, dochodziło jeszcze echo bohaterstwa wojennych antyfaszystów; na rogach paryskich ulic wciąż wbudowywano nowe tablice ku czci członków ruchu oporu, zastrzelonych w tym miejscu przez Niemców. Ale oczywiście większość ludzi, prawdopodobnie i Harold, pozostawała obojętna na te ceremonie i ich moralno-polityczny wydźwięk.

- Mów dalej. Co stało się potem? To niesamowita historia - zachęcałem go najcieplej, jak potrafiłem.

Wyczuł widocznie akceptację w moim głosie, bo jakby bardziej się otworzył.

- No więc... kilka dni później Fugler pojawił się znowu.

Nadal tryskał entuzjazmem. Rozmowa dotyczyła szkoły - jak i gdzie naj lepiej ją założyć.

- Potem - ciągnął Harold - bez większych ceregieli poinformował mnie, że każdy, kto obejmuje kierownicze stanowisko w dziedzinie kultury, musi przejść rutynowy „program badań przynależności rasowej”. - Znowu przybrał ten swój ironiczny uśmiezek. - Czyli czekał mnie test aryjskości.

Musiał pojechać z Fuglerem do laboratorium profesora Maruna Zieglera na rutynowe badanie.

Po tej wiadomości poczuł, że jego pozycja staje się jeszcze bardziej kłopotliwa.

- Trudno to wyjaśnić; dałem się wrobić w ten układ, wiedząc, że i tak wyjadę z Niemiec, chociaż nie miałem pojęcia, kiedy i jak. Ale poddać się badaniu to już całkiem co innego. Bo wtedy popełniłbym oszustwo.

Rozumiesz, potem dorzuciliby to do kotła, uznaliby mnie za wroga i musieliby coś ze mną zrobić... bez względu na mój paszport. Zaczęło mi to śmierdzieć jakimś gwałtem.

Ale jednak nie uciekłem.

- Sam nie wiem - odparł, kiedy zapytałem dlaczego. - Pewnie po prostu czekałem, co z tego wyniknie. No i

nie przeczę, że ta suma mocno zapadła mi w głowę. Chociaż... - Znów urwał, wyraźnie niezadowolony z tego wyjaśnienia.

W każdym razie, gdy wsiadł do samochodu Fuglera, zaczął się bać, że jako osobisty protegowany Hitlera naraża się na większe niebezpieczeństwo.

- Zupełnie jakby... sam nie wiem, jakby mnie obserwował. Może dlatego, żeśmy się poznali, że uścisnąłem mu rękę... - tłumaczył, sugerując, że czuł się niejako zobowiązany wobec Hitlera, bądź co bądź swego dobroczyńcy, którego chciał wywieść w pole.

Obserwując Harolda, odkryłem, że sprawy uległy uproszczeniu; rzeczywiście dostrzegalem w nim pomieszanie uczuciowe, ale wydało mi się, że pod spodem biegnie wyraźnie wytyczona linia: nikt poza Hitlerem nie docenił w takim stopniu jego sztuki, u nikogo jeszcze nie wzbudził tak żarliwego zachwytu, graniczącego wręcz z serdecznością. Zastanawiałem się, czy czasem ten występ nie był szczytowym osiągnięciem jego życia, haczykiem, który połknął i wciąż nie mógł go wykaszczyć. W końcu nigdy nie został gwiazdą i prawdopodobnie nigdy nie poczuje już na twarzy owego płomiennego żaru, magicznego blasku chwały.

Siedząc obok Fuglera w samochodzie i patrząc przez okno na ulice wielkiego miasta, na zwykłych przechodniów, Harold czuł, że wszystko, co widzi, wydaje się znaczące, jak na obrazie, w którym są zawartej jakieś ukryte treści. Alej jakie?

- Człowiek mimo woli zadawał sobie pytanie, czy oni wszyscy czują się tak samo? Jak rybka w akwarium, na którą patrzy z góry czyjeś troskliwe oko?

Nie wierzyłem własnym uszom: Hitler troskliwy?

Harold miał teraz łzy w oczach. Podobno kiedy patrzył na Fuglera, który siedział wygodnie rozparty, paląc angielskiego papierosa, a potem na ludzi na ulicach, „wszystko zdawało się takie cholernie normalne i może właśnie dlatego przerażające. Jak sen, w którym ty toniesz, a ludzie na plaży obok grają w karty. Rozumiesz, ja tu sobie jadę autem na mierzenie nosa czy sprawdzanie fiuta - i to też jest normalne! Przecież ci ludzie nie wzięli się z Księżyca, oni mieli w domach lodówki! ”.

Po raz pierwszy przemówił przez niego gniew, ale akurat nie na Niemców, raczej na tę wymykającą się definicji sytuację. Oczywiście miał mały, perkaty nos, a obrzezanie w tym czasie stawało się popularne nawet „wśród Niemców, więc fizycznego badania nie musiał się obawiać. I jakby czytał w moich myślach, dodał:

- Nie, żebym się bał tego badania, ale... no nie wiem, sam fakt, że wdepnąłem w takie gówno... - zamilkł, bo i tym razem nie mógł znaleźć odpowiednich słów.

Profesor Ziegler w swoim gabinecie eugenicznym, mieszczącym się w nowoczesnym budynku, miał ściany obstawione regałami, na których stały ciężkie medyczne tomy i gipsowe modele głów różnych ras - chińskiej, afrykańskiej, europejskiej - za przesuwanymi szybami. Patrząc na to wszystko, Harold czuł się tak, jakby otaczała go martwa widownia. Sam profesor był niemal dzieciennego wzrostu - Haroldowi nie sięgał nawet do pachy - krótkowzrostny, w typie służalczego naukowca. Pośpiesznie wskazał Haroldowi krzesło (Fugler pozostał za drzwiami). Drepcząc po białym linoleum, przygotowywał sobie notatnik, ołówki, wieczne pióro i uspokajał Harolda: „Jeszcze parę minetek, zaraz kończymy. Rzeczywiście to ekscytujący pomysł z tą pańską szkołą”.

Siedząc naprzeciwko niego na wysokim stołku, z notatnikiem na kolanach, odnotował z satysfakcją niebieskie oczy i jasne włosy, odwrócił mu dłonie, najwyraźniej szukając jakichś wróżebnych znaków czegoś tam, wreszcie obwieścił: „Zrobimy teraz kilka pomiarów, jeśli łaska”. Wyciągnął z szuflady mosiężny cyrkiel kalibrowy, przyłożył jeden jego koniec pod podbródek Harolda, a drugi do czubka głowy i zapisał odległość. W taki sam sposób zmierzył szerokość kości policzkowych, wysokość czoła od nasady nosa, szerokość ust i szczęk, długość nosa i uszu oraz ich pozycję w stosunku do czubka nosa i głowy. Każdy wynik notował skrupulatnie w oprawnym w skórę notesie, a tymczasem Harold myślał gorączkowo, skąd by tu wytrzasnąć niepostrzeżenie rozkład jazdy pociągów i jaki niebudzący podejrzeń powód przedstawić, by móc jeszcze tego samego wieczora prysnąć do Paryża.

Cała sesja trwała około godziny, włączając w to oględziny penisa. Mimo obrzezania nie wzbudził on

większego zainteresowania profesora, który z uniesioną krytyczną brwią przyglądał mu się przez chwilę, „jakby ptak patrzył na dżdżownicę” - zaśmiał się Harold. W końcu, podniósłszy wzrok znad rozłożonych notatek, profesor obwieścił z niekłamana satysfakcją w głosie: „Wnoszę, że jest pan zdecydowanym i bardzo wybitnym przedstawicielem rasy aryjskiej i życzę panu wielkiego sukcesu”.

Fugler oczywiście nie miał w tym względzie najmniejszych wątpliwości, zwłaszcza teraz, kiedy reżim powierzył mu rolę kreatora tego zadziwiającego programu. Naśladowując jego gładki akcent, Harold opowiedział, jak w drodze powrotnej w samochodzie jego towarzysz wpadł w podniosły nastrój i zaczął snuć plany „przekształcenia Niemiec w naród nie tylko producentów i żołnierzy, ale także artystów, tych odwiecznych, najszlachetniejszych duchów ludzkości” i tak dalej, a wszystko to dzięki sztuce stepowania. I odwróciwszy się do Harolda, dodał: „Muszę ci powiedzieć... ale mogę ci teraz mówić po imieniu?”. „Tak, jasne”. „Haroldzie, ta przygoda, jeśli mogę to tak nazwać, sugeruje mi, co musi czuć artysta, gdy kończy kompozycję, obraz czy inne dzieło sztuki: że staje się nieśmiertelny. Mam nadzieję, że nie wprawiam cię w zakłopotanie?”. „Nie, skądże. Doskonale rozumiem, co masz na myśli” - odparł Harold, błędząc myślami gdzie indziej.

Wróciwszy do hotelu, przywitał się z trupą zebraną w swoim pokoju. Był błądliwy i wystraszony. Kazał trójce tancerzy usiąść i oznajmił: „Wyjeżdżamy”.

„Dobrze się czujesz? - spytała Conway - Coś blade wyglądasz”.

„Pakujcie manatki! Pociąg odchodzi o piątą. Macie półtorej godziny. Moja matka w Paryżu jest ciężko chora”.

Benny Worth uniósł brwi.

„Twoja matka jest w Paryżu?”. - Ale w tej samej chwili pochwycił spojrzenie Harolda, po czym cała trójka bez słowa ruszyła do swoich pokoi.

Tak jak Harold przypuszczał, Fugler nie poddał się tak łatwo.

- Recepcjonista musiał go zawiadomić, bo ledwie przekreślił klucze w zamkach, już był przy nas i wodził wzrokiem po naszych bagażach z rozpaczą wypisaną na twarzy.

„Co robicie? Nie ma mowy o wyjeździe! - krzyczał. - Może czeka was obiad z Führerem, odmowa nie wchodzi w rachubę!”.

Conway, która przypadkiem stała w pobliżu, podeszła do Fuglera. Ze strachu głos się jej podniósł o oktawę.

„Nie widzi pan? Jest przerażony, bo matka mu umiera. To nie jest stara kobieta, musiało się stać coś strasznego”.

„Mogę zadzwonić do naszej ambasady w Paryżu, żeby tam kogoś posłali. Musicie zostać, wyjazd jest niemożliwy! Jaki jest jej adres? Dopilnuję, żeby lekarze natychmiast się nią zajęli. To nie może się zdarzyć, panie May! Herr Hitler nigdy w życiu nie wyraził tak jasno...”.

„Jestem Żydem” - przerwał mu Harold.

-I co on na to? - spytałem ze zdumieniem.

Harold spojrział na mnie z nie mniejszym zdziwieniem. Zastanawiałem się, czy to nie jest pointa tej historii - opis jego ucieczki nie tylko z Niemiec, ale od relacji z Hitlerem - tak wielkie zadowolenie rozlało się na jego uśmiechniętej chłopięcej twarzy, aż po przedziałek pośrodku głowy.

-Fugler powiedział: „Bardzo mi miło”.

- Jak to: „Bardzo mi miło”?! - wykrzyknąłem, kompletnie zdezorientowany.

- Tak właśnie: „Bardzo mi miło”. Cofnął się o pół kroku, jakby uderzył go w pierś strzał sprężonego powietrza, powiedział: „Bardzo mi miło”, i wyciągnął rękę. Szczeka mu opadła i zbladł, myślałem, że zemdleje, zesra się czy co. Zrobiło mi się go trochę żal... Nawet uściśnąłem mu tę rękę. I ten przestach w oczach, zupełnie jakby zobaczył ducha.

-A co niby miało znaczyć to „Bardzo mi miło”?

- Do dziś nie rozumiem - odparł Harold, tym razem poważnie. - Dużo o tym myślałem. Miał taką minę, jakbym nagle spadł z sufitu przed jego nosem. I był naprawdę śmiertelnie przerażony. Zdecydowanie. Prawdopodobnie tym, że sprowadził Żyda przed oblicze Hitlera. Dla nich Żydzi byli

czymś w rodzaju zarazy, ale pojąłem to dopiero znacznie później. Przypuszczam, że przestraszyło go wtedy jeszcze coś innego.

Przerwał na chwilę i zapatrzył się w pustą szklankę. Przez okno widziałem, że na chodnik zaczynają wylęgać pracownicy okolicznych biur; kończył się dzień pracy.

- Wracając myślą do naszego spotkania w Budapeszcie, zastanawiałem się, czy może nie uznał, że się ze mną zbyt spoufalili. Nie, nie chodzi mi o seks, tylko czy czasem nie stałem się dla niego czymś w rodzaju przepustki na spotkanie twarzą w twarz z Hitlerem. Tego mogli dostąpić tylko naprawdę ważni ludzie, a szczytowym osiągnięciem Fuglera miała być ta nowa szkoła. Rozumiesz, stałem się w pewnym sensie władzą, co zacząłem dostrzegać w drodze do laboratorium profesora: już w samochodzie Fugler traktował mnie tak, jakbym stał wyżej od niego. A kiedy jeszcze profesor uznał mnie za koszerne, Fugler na moich oczach przeobraził się w innego człowieka - mojego podwładnego. Wyglądało to doprawdy żałośnie.

Rozumiesz - ciągnął - wtedy jeszcze nie wiedziałem nic o obozach i tak dalej... - nagle umilkł.

-Co masz na myśli? - spytałem.

-Nic, tylko... - Znów urwał na dłuższą chwilę. - Prawdę rzekłszy, nie był wcale taki zły ten Fugler, tyle że miał fioła. I to tęgiego. Jak cały tamten kraj, a tak szczerze, wszystkie kraje. W pewnym sensie. Kiedy patrzę na ten zbombardowany do gołej ziemi Berlin i przypominę sobie czasy, kiedy na chodnikach nie było jednego papierka po cukierku, zadaję sobie pytanie: Jak to możliwe? Dlaczego tak się stało? Coś musiało to sprawić, ale co?

Umilkł ponownie.

-Nie oskarżam ich w żaden sposób, ale kiedy powiedział: „Bardzo mi miło”, takim tonem, jakby mnie pierwszy raz widział na oczy, pomyślałem, że ci ludzie są zdecydowanie pograżeni we śnie. I nagle zjawia się ten Żyd, którego on wziął za osobę. Pewnie zaraz powiesz, że ten sen zabił czterdzieści milionów ludzi, ale jednak to sen. Prawdę rzekłszy, uważam, że my wszyscy jesteśmy... we śnie. Cały czas tak myślę, od kiedy wyjechałem z Niemiec. Minęło dziesięć lat od mojego powrotu do kraju, a ja wciąż się nad tym zastanawiam. Rozumiesz, żaden naród nie stąpa tak twardo po ziemi jak Niemcy. Są praktyczni do bólu. A jednak ulegli tym mrzonkom, aż rozpadli się w gruzy. - Wyjrzał na ulicę. - Trudno się oprzeć tym myślom, kiedy się chodzi po mieście. Czy my jesteśmy inni? Może my także uwięźliśmy w jakimś śnie. - I machnąwszy ręką w stronę tłumów na ulicy, dodał: - To wszystko, co siedzi im w głowie, rzeczy, w które wierzą... Kto wie, do jakiego stopnia są realne? Dla mnie teraz jesteśmy jak chodzące piosenki, chodzące powieści, a jedyny czas, który wydaje się rzeczywisty, jest wtedy, gdy ktoś kogoś zabija.

Przez chwilę nikt się nie odzywał; tym razem ja przerwałem milczenie:

-Więc jednak udało ci się wydostać bez problemu?

- Och, tak. Prawdopodobnie ucieszyli się, że wyjeżdżamy bez zbędnego rozgłosu. Wróciliśmy do Budapesztu i występowaliśmy dopóki Niemcy nie wkroczyli do Pragi. Potem wróciliśmy do kraju.

Kiedy wyprostował się na krześle, przygotowując się do wstania, uderzyło mnie, jak łudzaco młody i nienaznaczony przez wiek wydawał mi się jeszcze pół godziny wcześniej, kiedy się poznaliśmy - taki zwykły prostaczek z „kukurydzianego pasa” - podczas gdy w rzeczywistości zmarszczki wokół oczu świadczyły o porażce.

- Wykorzystaj to, jeśli chcesz - rzekł. - Chcę, by ludzie o tym wiedzieli. Może coś z tego zrozumiesz... masz wolną rękę.

Potem wstał i wyszedł na ulicę.

Nigdy więcej go nie spotkałem. Ta historia nie dawała mi spokoju przez pięćdziesiąt lat, chociaż z jakiegoś powodu wciąż ją od siebie odpychałem. Może wolałem dopuszczać do głosu bardziej optymistyczne tematy, co także jest w pewnym sensie marzeniem. A jednak lubię myśleć, że wiele dobrego wzięło się z marzeń.

## **Bobry**

W stawie, zwykle cichym jak szklanka wody, rozległ się teraz plusk, jakby w odpowiedzi na kroki mężczyzny. Coś ciężko chlupnęło, znacznie głośniejsze niż żaba czy skacząca ryba, a potem znów powierzchnia

wyglądziła się niczym lustro. Mężczyzna czekał, ale wszędzie panowała cisza. Chodził wzdłuż brzegu, wypatrując znaków, przystawał, nasłuchiwał. Wreszcie jego uwagę zwrócił pień drzewa na drugim brzegu. Podeszedł bliżej, zauważył zwaloną topolę; miała czubek tak samo obgryziony jak pień. Najwyraźniej miał bobry - intruzów, którzy kradli mu prywatność. Teraz, wodząc wzrokiem po brzegu, naliczył aż sześć drzew zwalonych podczas jednej nocy. Jeszcze dwadzieścia cztery godziny i zbocza nad stawem całkiem opustoszeją. A za następne dwa dni cały ten śliczny las, z gniazdkiem stawu pośrodku, będzie leżał na ziemi jak po przejechaniu buldożera. Dawno temu mężczyzna patrzył z zaskoczeniem na zagładę drzew na ziemi Whittlesy'ego - co najmniej cztery hektary wyglądały jak Las Argoński po bombardowaniu w czasie I wojny światowej. Ale ściany zieleni, którą miał za plecami, zamierzał bronić osobiście.

Odwrócił się do wody w samą porę, by ujrzeć przesuwaną się po powierzchni płaski łeb gryzonia. Zastygł w bezruchu, obserwował zwierzę, które dopłynęło do zwężenia na końcu stawu, podkreśliło ów fakt pożegnalnym plaśnięciem skórzastego ogona, wreszcie śmignęło w górę, by zaraz opaść i zniknąć pod wodą. Mężczyzna podeszedł do brzegu i tuż pod powierzchnią przejrzystej, odbijającej niebo wody dostrzegł zarys żeremia. Nie do wiary! Musiały zbudować to przez noc, bo przecież jeszcze poprzedniego dnia sam tu pływał i niczego nie zauważył. Aż go zmroziło ze zdumienia. Toż to najzwyczajniejsza inwazja! W dodatku przypomniał sobie, że łajno bobra jest toksyczne - czytał o tym dawno temu. Już nie będą mogli z Louisą pływać tutaj, jak to mieli w zwyczaju od trzydziestu lat, rozkoszując się czystością wody, która przebiegała się od dołu przez warstwy piasku i gliny. Po przejściu przez taki filtr uznano ją swego czasu za zdatną nawet do picia.

Czym prędzej wrócił do domu, odnalazł strzelbę i pudełko z nabojami, a potem ruszył znowu nad staw, tam gdzie wcześniej wypatrzył żeremie. Słońce było już nisko, dzięki czemu mógł lepiej przyjrzeć się konstrukcji: ścianka upleciona z cienkich gałęzi odciętych ze zwalonego drzewa i pozlepiana mułem z dna. Zwierzę prawdopodobnie leżało na wybudowanej wewnątrz półce. Mężczyzna wycelował, starając się ominąć żeremie, i wypalił w wodę, która odpowiedziała hukami i rozbłyskami świetlnych punkcików. Oczekał kilka minut i ponownie zobaczył łeb. Spodziewając się konfrontacji, przeładował broń i czekał, zamierzając nie tyle zabić zwierzę, ile zaniepokoić je i w rezultacie wypłoszyć. Wypalił znowu. Płaski ogon wystrzelił łukiem nad wodę i plusnął. Mężczyzna czekał. Znowu zobaczył głowę. Bóbr płynął, nie zdradzając żadnych oznak niepokoju, prosto ku czternastocalowej stalowej rurze odpływowej, która sterczała niecałe dwa metry od przeciwległego brzegu. Tam prowokacyjnie - a może był to jakiś inny rodzaj emocji? - ściał rosnącą przy samej wodzie leszczynę i trzymając ją w pysku, wepchnął w całości do rury. Potem zanurkował i wynurzył się ponownie z pyskiem pełnym ubłoconej trawy, którą dodatkowo uszczelniał otwór. Wyraźnie chciał zatamować odpływ, a w rezultacie podnieść lustro wody.

Oslupiały mężczyzna przysiadł na piętach po drugiej stronie stawu, chcąc rozszyfrować zagadkę owej intensywnej pracy. Z konwencjonalnej analizy wynikało, że budując tamę, bóbr ma na celu zablokowanie nikłego nurtu tak, aby powstała sadzawka, w której następnie zbudowałby zabezpieczone przed drapieżnikami siedlisko dla siebie i swojej przyszłej rodziny. Taki plan prowadził do wylesienia znacznego terenu, z którego pochodziłyby cienkie gałązki i celuloza ze zwalonych drzew, potrzebna do życia gryzoniom. Ale ten sierściuch miał już głęboką sadzawkę, w sam raz nadającą się do budowy żeremia. On je już nawet wybudował! Po co w takim razie zatykał rurę, blokował przepływ, podnosił lustro wody? Cały ten wysiłek, skądinąd godny podziwu, biorąc pod uwagę inżynierską sztukę bobra, był absolutnie bezcelowy. Obserwując działania zwierzęcia, mężczyzna uznał, że zdecydowanie mu się to nie podoba. Po paru minutach zaczął się zastanawiać, czy warto polegać na naturze jako na ostatecznym źródle trwałej logiki i porządku, które tylko bezrozumni ludzie niszczą swoją chciwością i lekkomyślną głupotą. Ten bóbr zachowywał się jak krety, wyobrażając sobie, że tworzy sadzawkę, skoro istniała już jedna, i to wręcz doskonała. Mężczyzna wycelował dostatecznie blisko zwierzęcia, aby mu uświadomić raz jeszcze, że nie jest tu mile widziane. Strzelił, zobaczył uniesiony ogon, który plusnął o wodę, a potem ten głupek uciekł. Po paru sekundach wynurzył się jednak znowu i ponownie zabrał do tamowania odpływu. Mężczyzna poczuł, że zaczyna słabnąć wobec takiego uporów, takiego absolutnego

poświęcenia, całkowicie odmiennego od jego własnej, targanej ciągłymi wątpliwościami natury i kruchych przekonań, będzie musiał zasięgnąć rady jakiegoś eksperta, ale tak czy owak zwierzę musi się wynieść.

Człowiekiem, którego potrzebował, był Carl Mellencamp, syn aptekarza. Chłopak, znany mu od dzieciństwa, wyrósł na jego oczach do rozmiarów olbrzyma - w wieku dwudziestu paru lat mierzył ponad metr osiemdziesiąt i ważył około stu kilogramów. Chodził rozkołysanym krokiem, miał wielkie pięści łucznika, równe oko budowlańca oraz słomkowy kapelusz z wywinętym rondem, który co najmniej od dziesięciu lat nosił przekrzywiony na lewy bok - upał czy śnieg. Carl żył z układania kamiennych murów, budowania werand i ogrodowych ścieżek oraz polowania ze strzelbą czy łukiem. Kiedy wczesnym wieczorem zajechał swoim białym ciężarowym dodge'em, mężczyzna poczuł, że ciężki płaszcz odpowiedzialności zsuwa się z jego ramion i opada na Carla.

Przede wszystkim poszli obejrzeć odpływ - Carl ze strzelbą na ramieniu. W czystej wodzie zobaczyli z niejakim zdumieniem, że zwierzak zdążył oblepić rurę mułem po samą krawędź.

- Wyraźnie sięzawziął, żebyjązatkąć na dobre.

- Ale po jaką cholere? Przecież miał już staw! - zastanawiał się mężczyzna.

- Zapytaj go przy najbliższej okazji. Trzeba go będzie zlikwidować. I to razem z żoną.

Mężczyzna stał na szczycie zapory, kręcąc głową.

- Nie można go jakoś wypłoszyć? I żadnej żony nie widziałem.

- Musi tu gdzieś być - odparł Carl. - To młódki, prawdopodobnie przepędziły je te ze stawu Whittlesy'ego. Może mają ze dwa albo trzy lata. Chcą założyć nową rodzinę i osiedlić się tutaj. -I machnąwszy ręką w stronę sosen, które mężczyzna posadził na drugim brzegu czterdzieści lat wcześniej, dodał: - Możesz się pożegnać ze swoimi drzewami.

-Nie znoszę zabijać.

- Ja także. - Carl spojrział z ukosa w wodę. Potem wyprostował się i rzekł: - Spróbujmy najpierw nasikać.

Słońce już zachodziło, na staw kładły się długie cienie i niebo ciemniało. Carl ruszył wzdłuż tamy do miejsca, gdzie znajdowało się żeremie, zatrzymał się tam i obsikał pobliski grunt. Następnie wrócił do mężczyzny.

- Chyba nic z tego nie będzie. Za dużo zainwestowały, by zrezygnować.

Nagle rozległ się plusk i przy końcu stawu zobaczyli bobra - j ednego

- który wyląził z wody nieopodal obsikanego miejsca, bynajmniej niezniechęcony zapachem człowieka.

- Dobra jest - szepnął Carl. - Dorwę go, jak już całkiem wylezie, okej?

Mężczyzna skinął głową. Ogarnęła go nienawistna, przesywająca radość zabijania.

- Czy to aby legalne? - spytał z ironicznym uśmiechem.

- W tym akurat roku uznali j e za szkodniki.

-Anie można zastawić pułapek?

- Nie mam żadnych pułapek. I co byśmy zrobili z bobrami? Nikt ich nie chce. Znam faceta, który wzięłby skórę, ale nie są już pod ochroną.

- No to niech ci będzie.

- Nie ruszaj się - szepnął Carl. Przykłąkł na jedno kolano, przyłożył strzelbę do ramienia i wycelował do zwierzęcia, które wspinało się już na tamę. Nagle bóbr zawrócił i czmychnął z powrotem pod wodę. Carl wstał.

- Skąd wiedział? - spytał mężczyzna.

- Och, są cwane - rzekł Carl z pewną dumą myśliwego, który wierzy w spryt zwierzyny. Zostań tu i staraj się nie ruszać. - Mówił konspiracyjnym szeptem. - Nie chcę trafić go w wodzie, bo jeśli utonie, to go stracimy. - Ruszył na koniec tamy, stawiając płasko stopy, żeby nie kopnąć żadnego kamyka i nie spłoszyć bobra. Strzelba delikatnie balansowała mu w dłoni.

Stanąwszy twarzą do żeremia, miał przed sobą gęstą kępę trzciny, częściowo zakorzenionej pod wodą. Ostrożnie zagłębił się w jej środek i przysiadł na piętach, opierając czubek strzelby na udzie. Mężczyzna

obserwował go z drugiego końca tamy, pięćdziesiąt kroków dalej, zastanawiając się, skąd Carl wie, że zwierzę się wynurzy. Z zadowoleniem przyjął do wiadomości fakt, że Carl w gruncie rzeczy wcale nie miał ochoty zabijać.

Mijały minuty. Mężczyzna stał i patrzył. Widział między trzciniami, jak Carl bardzo powoli zbliża strzelbę do oka. Huk wystrzału rozszedł się echem po stawie. Carl szybko zszedł do płytkiej wody, wyciągnął bobra za ogon i przez trzciny wyniósł na brzeg. Mężczyzna szybko poszedł go obejrzeć. Carl, trzymając strzelbę w prawej ręce, podniósł martwe zwierzę lewą. Nagle upuścił je na trawę, a sam zawrócił do stawu, podniósł strzelbę i wypalił w stronę drugiego brzegu.

- To była dama - oznajmił. Wręczył strzelbę mężczyźnie i ruszył spieszenie wzdłuż tamy, po czym okrążył staw. Pośrodku drugiego brzegu zszedł do wody i wyciągnął samicę.

Na drodze dojazdowej, z dwoma martwymi bobrami na skrzyni ciężarówki, mężczyzna obserwował Carla, który gładził futro jednego z nich.

- Mój znajomy na pewno coś z tego zrobi. Ale piękne sztuki!

- Nie mogę zrozumieć, o co im chodziło, a ty?

Carl, który lubił opierać się o różne rzeczy, postawił stopę na piaście tylnego koła i zdjął swój ukochany kapelusz, żeby poskrobać się w spoconą głowę.

- Coś tam musiało im się kłuć pod czaszkami. To tak jak z ludźmi, kapujesz? Zwierzaki mają swoje wyobrażenia, te także pewnie miały.

- Przecież miał już staw. Po co mu to było?

Carl nie wyglądał na specjalnie przejętego tą kwestią. W ogóle zdawał się sądzić, że nie do niego należy szukanie rozwiązania.

Mężczyzna drążył dalej:

- Może po prostu zareagował na odgłos wody wypływającej z rury.

Carla to ubawiło.

- No. Może i tak? - Ale widać było, że nie jest przekonany.

- Innymi słowy - perorował mężczyzna mogło nie być związku między zatankiem odpływu a podniesieniem poziomu wody.

- Możliwe - przyznał już na serio Carl. Zwłaszcza że już zbudowały swój domek. To dziwne.

- Może denerwuje je ciurkanie wody. Nie lubią tego dźwięku, razi ich uszy.

- To by dopiero był numer, co nie? A my tu myślimy, że one mają w tym cel... - Zaczynał przychylić się do tej koncepcji.

- Może nie mają żadnego celu - rzekł mężczyzna, zaintrygowany taką możliwością. - Po prostu stłumiły dźwięk, a potem zawróciły i zobaczyły, że woda się podnosi. Ale ich umysł nie dostrzega związku między jednym a drugim. Widzą, że poziom wody wzrasta, i to nasuwa im pomysł budowy siedliska.

- A może po prostu nie miały nic lepszego do roboty, więc zatkały rurę.

- Jasne. - Wybuchnęli śmiechem.

- Robią ednarczecz - zauważył Carl - i to prowadzi je do następnej.

- Jasne.

- Jak dla mnie, brzmi nieźle. - Carl otworzył drzwi ciężarówki i dźwignął swe wielkie cielsko do kabiny. Potem spojrzął przez okno na stojącego obok mężczyznę i dodał ze śmiechem: - Historia mojego życia! Wiesz, kiedyś startowałem na nauczyciela.

- Pamiętam.

- A potem zakochałem się w betonie. I sam widzisz, na czym stało: zbieram kamienie po okolicy.

Mężczyzna parsknął śmiechem. Carl odjechał, machając mu ręką zza szyby. Na skrzyni ciężarówki trzęsły

się dwa martwe bobry.

Mężczyzna wrócił na brzeg. Staw znów był tylko jego, jakby nic się nie stało. Blask księżyca rozlewał się po cichej tafli niczym bładny balsam. Jutro trzeba będzie usunąć śmieci z rury i ściągnąć kogoś z dostatecznie długim narzędziem, żeby sięgnął z brzegu do żeremia i wyciągnął je z wody.

Mężczyzna usiadł na drewnianej ławce, którą dawno temu zbudował na małej piaszczystej plaży. Kiedyś chodzili tam pływać. Słyszał teraz, jak woda ciurka z niedokładnie zatkanego odpływu.

Co taki bóbr sobie myślał? Czy one w ogóle myślą? Ależ sobie zabił ćwieka! Czy naprawdę chodziło tylko o podrażnienie bębenków?

Gdyby zwierzak miał rozum, mógłby wyobrazić sobie, co będzie dalej. Może czuł satysfakcję, że udało mu się zatkać rurę, może już widział, jak dzięki jego wysiłkom podnosi się woda?

Ale cóż to za głupia, bezsensowna robota! Wydaje się absolutnym zaprzeczeniem gospodarności przyrody, która nie może sobie pozwolić na głupstwa, podobnie jak, dajmy na to, ksiądz, rabin, prezydent czy pop. Ci faceci nie trwonią czasu na stepowanie czy gwizdanie melodii. Przyroda jest poważna, nie ma w niej miejsca na komizm czy ironię. Przecież był już na miejscu dostatecznie głęboki staw, jak zwierzak mógł to zlekceważyć? I dlaczego jemu samemu ta myśl nie daje spokoju? Czy to jakaś paralela do ludzkiego poczucia bezsensu? Im dłużej o tym rozmyślał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że zwierzęta mają swoje emocje, osobowość, nawet pomysły, a nie tylko wszechwładne instynkty, które doprowadziły je do kompletnie bezcelowych działań.

A może jest w tym jakaś ukryta logika, tylko on swoim tępych umysłem jej nie wychwytyje? Czy bobrem mógł kierować jakiś zupełnie inny impuls niż chęć podniesienia poziomu wody? Ale jaki?

A może w ogóle nie chodziło mu o nic, poza mięśniową radością z faktu, że jest młody i zdolny do zrobienia tego, co od milionów lat miał zakodowane w umyśle? Bobry, mężczyzna to wiedział, są niezwykle uspołecznione. Po zatkaniu odpływu zwierzak mógł chcieć wrócić do śpiącej w domku partnerki i dać jej do zrozumienia, że spowodował podniesienie poziomu wody. Ona zapewne wyraziłaby jakoś swoją aprobatę; może od dawna o tym marzyła, bo chciała czuć się bezpieczniejsza. Nie przyszło jej do głowy, podobnie jak samcowi, że poziom już jest dostatecznie wysoki, liczył się sam pomysł. A może chodziło o miłość. Zwierzęta naprawdę są zdolne do miłości. Więc może ten bóbr zatkał odpływ z miłości? Prawdziwa miłość nie ma przecież żadnego celu poza sobą samą.

Albo to wszystko było jeszcze prostsze: zwierzak obudził się pewnego ranka i z nieskończoną rozkoszą zaczął pływać w czystej wodzie, gdy nagle usłyszał ciurkanie wody przez odpływ. Przepelniony pragnieniem, by uchwycić ten śliczny odgłos, skierował się w tamtą stronę, ponieważ kochał wodę nade wszystko i chciał w jakiś sposób stać się jej częścią, choćby zawłaszczając ten dźwięk.

Ciąg dalszy, jak się okazało, to nieprzewidziana śmierć. Bóbr w śmierć nie wierzył. Strzały w wodę go nie wypłoszyły, po prostu zanurzył się i wypłynął znowu po paru minutach. Był młody i we własnym mniemaniu nieśmiertelny.

Pozbawiony satysfakcji mężczyzna ociągał się z odejściem, przetrawiając cały dylemat. Cieszył się, że jego las pozostanie nietknięty, a jego wody nie skazi bobrze łajno. Nie żałował zabójstwa, chociaż uważał je za smutną konieczność, pomimo niewątpliwie złożonej natury i pewnej urody zwierząt. Byłby jednak szczerze wdzięczny, gdyby mógł znaleźć jakiś przekonujący powód do zatkania odpływu, a wyglądało na to, że nic takiego nie istnieje. Chyba że sekret zginął razem z bobrami, która to koncepcja nie dawała mu spokoju. Potem mężczyzna zaczął snuć fantazje na temat tego, ile przyjemnych rzeczy mogłoby wyniknąć, gdyby na początku nie było gotowego stawu, tylko tradycyjny wąski i kręty strumień, który bóbr w swojej mądrości przegrodziłby tamą, aby powstała sadzawka dostatecznie głęboka na budowę żeremia. Wtedy, doceniając użyteczność i sensowność całego przedsięwzięcia, można by spojrzeć z większym spokojem duszy na nieuniknioną dewastację okolicznych drzew i w pewnym sensie żał po zastrzelonym zwierzaku byłby szczerzy, nawet jeśli się samemu doprowadziło do jego śmierci. Czy przynajmniej poczułoby się wtedy, że coś zostało zakończone, całkowicie

zrozumiane i łatwiejsze do zapomnienia?

## Goly rękopis

Carol Mundt leżała na biurku i wsparta na łokciach czytała artykuł kulinarny w „You”. Miała ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i siedemdziesiąt kilo wagi - same mięśnie, kości i ścięgna, z lekko tylko zaznaczonym brzuchem. W Saskatchewan nie wyróżniała się rozmiarami, ale tu, w Nowym Jorku, to całkiem co innego. Poruszyła się, aby zmniejszyć nacisk na miednicę.

- Przestań, proszę! - powiedział Clement i Carol ponownie znieruchomiała. Wyraźnie słyszała nad głową jego przyśpieszony oddech i od czasu do czasu lekkie pociągnięcia nosem.

- Jeśli chcesz, to możesz teraz usiąść oznajmił po pewnym czasie. Przekręciła się na bok i podniosła do pozycji siedzącej, ze zwieszonymi nogami. - Potrzebuję kilku minut... Muszę to przetrwać dodał żartobliwie, śmiejąc się dobrodusznie.

Przeniósł się na fotel z czerwonej skóry naprzeciwko mansardowego okna, z którego roztaczał się widok na przedmieścia, aż do Dwudziestej Trzeciej ulicy. Wzdychając i moszcząc się w fotelu, patrzył na zalane słońcem szczyty dachów. Zajmował dom o elewacji z brązowego piaskowca, ostatni, jaki pozostał w kwartale przebudowanych starych magazynów i nowszych apartamentowców. Carol opuściła głowę, aby się rozluźnić - czuła, że w takich chwilach nie powinna się odzywać

- następnie zsunęła się z biurka; jej pośladki, odrywając się od drewna, wydały odgłos podobny do zamka błyskawicznego. Przeszła przez duży gabinet do małej łazienki, gdzie przysiadła, studiując w „Timesie” przepis na klopsa. Kilka minut później usłyszała przez cienkie drzwi: „Okej” - i spiesznie wróciła na biurko. Rozciągnęła się na brzuchu, tym razem opierając policzek na wierzchu dłoni, i zamknęła oczy. Po chwili poczuła delikatny ruch mazaka na tylnej części uda i próbowała wyobrazić sobie słowa, które pozostawia. Clement rozpoczął od jej lewego pośladka, wydając krótkie chrząknięcia - oznaki jego rosnącej ekscytacji; ona zaś leżała całkowicie nieruchomo, aby go nie rozpraszać

- tak jakby ją operował. Pisał coraz szybciej, każda kropka odciskała się mocno na jej ciele. Jego oddech stawał się coraz głośniejszy, przypominając jej po raz kolejny, jak wielkim przywilejem jest tego rodzaju służba geniuszowi. Ma zaszczyt pomagać pisarzowi, który, jak wynikało z obwoluty jego książki, już przed trzydziestką stał się laureatem licznych nagród i przypuszczalnie był bogaty, czemu jednakże przeczył stan jego mocno zużytych, niepasujących do siebie mebli. Potęga jego umysłu jawiła się jej jako wielka, uciskająca plecy dłoń, realny obiekt z określonym rozmiarem i wagą; Carol czuła się uhonorowana, szczęśliwa i gratulowała sobie, że odważyła się odpowiedzieć na jego ogłoszenie.

Clement właśnie pisał na jej łydece.

- Możesz czytać, jeśli chcesz - mruknął.
- Teraz po prostu odpoczywam. Czy wszystko w porządku?
- Tak, idealnie. Nie ruszaj się.

W okolicach kostki mazak zatrzymał się nagle.

- Obróć się, proszę.

Przekręciła się na wznak i spojrzała na pisarza. Wpatrywał się w ciało Carol, dostrzegając jednak jej lekki, pełen zażenowania uśmiech.

- Nie przeszkadza ci to, prawda?

Nie, skąd - odparła, niemal dławiąc się w tej pozycji odruchowym piskliwym śmiechem.

- Dobrze. Bardzo mi pomagasz. Zaczę tutaj, okej? - Dotknął jej tuż poniżej pełnych, krągłych piersi.

- Wszystko mi j edno.

Clement poprawił okulary w drucianej oprawie. Był o pół głowy niższy od tej olbrzymki, której wybuchy afektowanego rechotu były, jak przypuszczał, sposobem na zamaskowanie nieśmiałości. Jednakże zarówno jej

pusty optymizm, jak przekłete skażenie kumpłowską bezpośredniością, typową dla mieszkańców Środkowego Zachodu, denerwowały go, zwłaszcza u kobiety - uważał, że ją to maskulinizuje. Szanował stanowcze niewiasty, ale z daleka, wyraźnie preferując mniej obcesowe typy, takie jak jego żona, Lena. A właściwie ta Lena, jaką kiedyś była. Kobiecie, którą miał przed sobą na biurku, najchętniej powiedziałby, aby się odprężyła i dopuściła do głosu swoje zawstydzenie, ponieważ zdążył rozszyfrować jej rzekomą zuchowatość i problemy z randkowaniem już w chwili, gdy wspomniała mu o własnej strzelbie i urokach polowania z braćmi - Wallym i George'em. Teraz, jak się domyślał, zbliżała się do trzydziestki, więc żarty się skończyły, ale kamuflaż w postaci końskiego rechotu pozostał, jak pusta skorupa zrzucona przez zwierzę.

Naciągnął delikatnie skórę pod jej piersią, tak by mazak mógł się tam przesuwac. Zareagowała na dotyk uniesieniem brwi i nieco zaskoczonym uśmiechem. Ludzkie uczucia to żalosna sprawa. Ogarniała go z wolna jakaś nieokreślona radość; takiej łatwości w formułowaniu zdań nie odczuwał od czasu swojej pierwszej powieści, tej najlepszej, która właściwie napisała się sama i wyrobiła mu nazwisko. Działo się z nim coś, czego nie doświadczył od lat: słowa płynęły mu z podbrzusza.

Samoświadomość już wcześniej wchłonęła jego wczesny liryzm. Najgorsze podejrzenie dotyczyło faktu, że oddalająca się młodość uniosła z sobą jego talent. Bardzo długo był młody. Nawet teraz młodzięczość miał do tego stopnia wpisana w zawód, że chociaż nią pogardzał, nie umiał bez niej żyć. Być może nie mógł już odnaleźć dawnego stylu, gdyż bał się swoich lęków i zamiast oryginalnych, śmiałych zdań bezradnie generował zdania wydmuszki, które mogły wyjść spod każdej ręki. Dawno temu postaci wykreowane w jego wyobraźni były niemal namacalnie żywe, ale z czasem zastąpiło je coś w rodzaju pustej, białej powierzchni, jakby zimny, wypolerowany granit albo zagruntowane płótno. Często myślał o sobie, że utracił dar, niemal świętość. Gdy w wieku dwudziestu dwóch lat zdobył nagrodę Neimana- Feikera i niedługo potem nagrodę Bostonu, napawał się w duchu owym namaszczeniem, które, wśród innych darów, miało ofiarować mu i ten, że nigdy się nie zestarzeje. Po około dziesięciu latach małżeństwa zaczął sprawdzać na oślep jego skuteczność w towarzystwie kobiet, czasami także w ich ciałach. Chłopięcy sposób bycia, bujna czupryna, muskularna budowa i wesołość, ale głównie niegroźne roztargnienie, skłaniały niektóre kobiety do zaadoptowania go na jedną noc, na tydzień, czasem na kilka miesięcy, aż któreś z nich, straciwszy zainteresowanie, odchodziło. Seks pozwalał mu odżyć, ale tylko do chwili, gdy gapiąc się na pustą kartkę papieru, znowu doświadczał ciszy śmierci.

Aby ratować małżeństwo, Lena namówiła go na psychoanalizę, jednak typowa dla artysty awersja do grzebania we własnym umyśle, a także ryzyko, że jego magiczna ślepotą ustąpi przed zwykłym zdrowym rozsądkiem, ciągle odstraszały go od kozetki. Mimo to, pod naciskiem Leny - bądź co bądź skończyła psychologię społeczną - stopniowo uwierzył, że ojciec mógł go zranić znacznie głębiej, niż on, Clement, kiedykolwiek ośmielił się przyznać. Max Zom, hodowca kurcząt w zacofanym rejonie koło Peekskill nad Hudsonem, był fanatycznym zwolennikiem ścisłej dyscypliny w wychowaniu syna i czterech córek. Kiedyś dziewięcioletni Clement przypadkiem zdekapitował kurczaka, przytraskując mu szyję drzwiami. Chłopca za karę zamknięto na całą noc w pozbawionej okien piwnicy na kartofle, wskutek czego przez resztę swojego życia nie był w stanie spać bez zapalonego światła. Musiał także po kilka razy wstawać w nocy do ubikacji - niewątpliwe następstwo strachu przed sikaniem w ciemności na kartofle. Wyszędłszy rano na światło dzienne pod błękitnym niebem, poprosił ojca o wybaczenie. Ten najpierw rozjaśnił nieogoloną twarz w uśmiechu, ale potem na widok mokrych spodni Clementa ryknął śmiechem. Chłopiec uciekł do lasu; mimo ciepłego, wiosennego poranka szczekał zębami, a jego ciałem wstrząsały dreszcze. Zagrzebał się w rozwalonej, wygrzanej w słońcu beli siana. Podobna przygoda przytrafiła się jego najmłodszej siostrze Margie, kiedy jako nastolatka zbuntowała się przeciw ojcu i zaczęła wracać z randek po północy. Raz, sięgając po sznur od lampy w przedpokoj, chwyciła ciepłego jeszcze, martwego szczura, którego ojciec tam zawiesił, aby dać jej nauczkę.

Żadne z tych przeżyć nie znalazło się jednak w pierwszym opowiadaniu Clementa, rozszerzonym następnie w jego debiutancką powieść. Książka opisywała słabo zamaskowane matczyne uwielbienie dla syna, ojca zaś przedstawiała jako człowieka zasadniczo dobrych intencji, choć ponurego i z niejakimi trudnościami w

wyrażaniu uczuć - nic poza tym. elementowi w ogóle trudno było zdobyć się na potępienie; Lena uważała, że dla męża niwelowanie osądów samo w sobie stanowiło wyzwanie do konfrontacji z ojcem i symbolicznie zachęcało do jego ponownego pochówku. Dlatego w romantycznie lewicowym pisarstwie Clementa zawsze drgała nuta tęsknego protestu i jeśli ta naiwność w pierwszej książce wydawała się pociągająca, to w późniejszych raziała przewidywalnością i schematyzmem. W gruncie rzeczy z ogromną ulgą przyłączyłby się do anarchistycznej rewolty obyczajowej z lat sześćdziesiątych, doprowadzony do rozpacz strukturą samą w sobie jako wrogiem poetyczności. Zdaniem Leny jednak struktura w sztuce zakładała nieuchronność, co z kolei groziło sprowadzeniem Clementa na drogę morderstwa - logicznej odpowiedzi na straszliwe przestępstwa ojca. Ten komunikat był zbyt nieprzyjemny, by potraktować go poważnie, i w końcu Clement pozostał raczej lirycznym i dobronurzym facetem, chociaż w duchu niezadowolonym ze swej niereformowalnej łagodności.

Lena go rozumiała, co było łatwe, ponieważ mieli wspólne cechy.

- Jesteśmy członkami założycielami Stowarzyszenia Złamanych Skrzydeł - powiedziała pewnego późnego wieczora, sprząając po jednej z imprez. Gdy mieli po dwadzieścia, trzydzieści lat, ich salon w Brooklyn Heights co weekend pękał w szwach. Goście schodzili się chętnie, wiedząc, że są mile widziani, palili bez przeszkód papierosy, od których Lena odrywała filtry, lubili klapnąć sobie na dywanie czy rozciągnąć się na sfatygowanych meblach i pić przyniesione z sobą wino. Rozprawiano o nowych sztukach, filmach, powieściach i wierszach, ubolewano nad fatalną składnią Eisenhowera, nad tworzeniem czarnych list pisarzy w radiu i w Hollywood, nad rozbudzoną ostatnio zagadkową wrogością czarnych wobec Żydów, ich tradycyjnych sprzymierzeńców, nad Departamentem Stanu, cofającym paszporty podejrzanym radykałom, nad przerażającą, irracjonalną ciszą, w której - tak czuli

- pograżał się ich kraj w obecnych czasach, gdy nowy konserwatyzm zaczął wydłubywać i unicestwiać fragmenty historii ostatnich trzydziestu lat - na przykład te związane z wielkim kryzysem czy New Dealem - a nawet przedstawiać nazistów, dotychczasowych wojennych wrogów, jako obrońców przed dawnymi sojusznikami, Rosjanami. Niektórzy z gości, pokrzepieni gościnnością Zomów, wychodzili w noc bądź jako świeżo połączona para, bądź samotnie, ale zawsze pod wrażeniem beznadziejnego czasu utraconej odwagi: uważali się za jaskrawą mniejszość w kraju, gdzie panowała błoga niewiedza na temat rewolucji światowej, gdzie coraz łatwiej było zrobić pieniądze, gdzie psychoanalityka uznawano za najwyższy autorytet, a brak osobistego zaangażowania za podstawową cnotę.

W końcu Lena, niepewna niczego poza własnym zagubieniem, zanalizowała sprawy i doszła do wniosku, że podobnie jak zdania Clementa, ona także nie była już jego, a ich życie stało się tym, co ostatnio mawiał o swoim pisarstwie: podróbką. Nadal mieszkali razem, obecnie na dolnym Manhattanie, w budynku z elewacją z brunatnego piaskowca, pożyczonym „na wieczne nieoddanie” od dziedzica stalowej fortuny, homoseksualisty, który uważał Clementa za drugiego Keatsa. W tym czasie jednak Clement często sypiał na drugim piętrze, a Lena na parterze. Dom był jedynie największym z wielu prezentów, jakimi ludzie ich obsypywali: płaszcz z wielbłądziej wełny pochodził od przyjaciela-lekarza, który uznał, że potrzebuje większego rozmiaru, a domek letniskowy na Cape Cod wraz ze starym, ale dobrze utrzymanym buickiem udostępniało im co roku małżeństwo, które wyjeżdżało na lato do Europy. Los też był dla nich szczodry. Pewnej nocy, spacerując ciemną ulicą, Clement kopnął niechcący coś twardego i wrócił do domu z puszką anehojs. Tam z przykrością zauważyli, że do jej otwarcia potrzebny jest specjalny klucz, więc puszka wylądowała w kredensie. Miesiąc później na innej ulicy potrącony nogą kawałek metalu okazał się brakującym kluczem! Clement i Lena, oboje miłośnicy anehojs, natychmiast wyciągnęli jakieś krakersy, usiedli i wyjedli wszystko.

Ciągle jeszcze zdarzało się im razem pośmiać, przeważnie jednak oboje trapił się tym, że zawiedli swą drugą połowę, chociaż nie mieli siły dopuścić tego faktu do świadomości.

- Mamy nawet podróbkę rozwodu zauważyła Lena, a on się roześmiał i przytaknął. Mimo to niczego nie zmieniali poza tym, że ona obcięła swoje długie falujące blond włosy i podjęła pracę w poradni dziecięcej. Chociaż sami nigdy nie zdecydowali się na powiększenie rodziny, rozumiała dzieci instynktownie i Clement

obserwował z pewnym niepokojem, że praca daje jej szczęście. Przez pewien czas odkrywanie własnych możliwości dodawało jej skrzydeł, co groziło odsunięciem męża na drugi plan. Ale po niespełna roku zrezygnowała.

- Po prostu nie mogę chodzić każdego dnia w to samo miejsce.

To był powrót dawnej szalonej i lirycznej Leny, co sprawiło mu przyjemność pomimo niepokojów związanego z utratą jej zarobków. Ostatnio potrzebowali więcej pieniędzy, niż Clement był w stanie zarobić, gdyż sprzedaż jego książek spadła niemal do zera. Co do seksu, Lena prawie nie pamiętała czasów, kiedy tak wiele dla niej znaczył. Stopniowo doszło do tego, że godziła się na zaledwie cztery, pięć ustępstw w ciągu roku, a czasem i to nie. Przygody męża, których się domyślała, ale nie przyjmowała do wiadomości, uwalniały ją od jarmu, chociaż pochłaniały resztki szacunku do siebie. Clement reprezentował pogląd, że mężczyzna musi pójść gdzieś ze swoją erekcją, natomiast kobieta czuje, że to ona jest tym „gdzieś”. To wielka różnica. Przyznał się jednak przed sobą w przystępie okrucieństwa, że Lena jest zbyt nieszczęśliwa, by odczuwać radość pieprzenia, co kładł na karb jej przeszłości.

Pewnego letniego popołudnia, gdy palił fajkę na skrzypiącym schodku owego użyczonego domku letniskowego, zobaczył samotną dziewczynę. Szła brzegiem morza i wyglądała na całkowicie zatopioną w myślach. Słońce świeciło na jej biodra i Clement wyobraził sobie, że leży przed nim naga, on zaś pisze na jej skórze. Jego myśli zaczęły nabierać rozpędu. Od niepamiętnych czasów żadna wizja siebie nie podniosła go do tego stopnia na duchu. Obraz siebie piszącego na kobiecym ciele wydał mu się w jakimś sensie czymś tak zdrowym i krzepiącym, jak trzymanie świeżego bochna chleba.

Być może w ogóle nie zamieściłby tego ogłoszenia, gdyby Lena w końcu nie eksplodowała. Siedział właśnie w swojej pracowni na drugim piętrze i dla odświeżenia umysłu czytał Melville'a, kiedy z dołu dobiegły go krzyki. Gdy wpadł do salonu, skulona na kanapie Lena wylewała w przestrzeń całe potoki żalu. Chwycił ją w ramiona i trzymał, dopóki nie ucichła z wyczerpania. Rozmowa nie była potrzebna; jego żona po prostu ginęła z powodu niejasnej pretensji do życia, ciągłego braku pieniędzy, a także jakiegokolwiek oparcia w mężu. Ujął ją za rękę; nie mógł zmusić się do spojrzenia w jej wyniszczoną twarz.

Uspokajała się z wolna. Przyniósł jej szklankę wody i siedzieli tak razem na kanapie, niczego od siebie nie oczekując. Z paczki na stoliku do kawy Lena wyjęła chesterfielda, odcięła filtr paznokciem i położyła się na kanapie, zaciągając się prowokacyjnie; doktor Salz niedawno ostrzegł ją już po raz drugi. Ma chyba romans z tymi chesterfieldami, pomyślał Clement.

- Zastanawiam się, czyby nie napisać czegoś autobiograficznego - powiedział, dając do zrozumienia, że mogłyby z tego być pieniądze.

- Moj a matka... - zaczęła i umilkła, patrząc w przestrzeń.

- Tak?

Niejasna wzmianka o matce przypomniała mu, jak pierwszy raz Lena przyznała się otwarcie do swego poczucia winy Siedzieli w oknie jej stancji, skąd rozciągał się widok na elegancką ulicę wysadzaną drzewami w pełnym listowiu, ze snującymi się leniwie studentami. Pogodny spokój kampusu Środkowego Zachodu odgradzał ich od realnego świata, natomiast w Connecticut, jak mówiła, jej matka każdego dnia wstawiała przed piątą rano, aby złapać pierwszy tramwaj do Niezrównanej Pralni Parowej, gdzie pracowała przez osiem godzin. Wyobraź sobie! Jaśnie pani Christa Vanetzki prasuje koszule obcych ludzi, aby posłać córce co miesiąc dwadzieścia dolarów na pokój z utrzymaniem, jednocześnie zabraniając jej podjęcia pracy, choć większość studentów przecież pracowała. Lena musiała przymknąć oczy i wypchnąć z głowy poczucie bezwartościowości. Aby uszczęśliwić matkę, musiała odnieść sukces - bo sukces to lekarstwo na wszystko - może w postaci posady psychologa społecznego w urzędzie miejskim.

Miała na sobie biały angorowy sweter.

- Jaśniejesz w nim jak duch przy tym zwariowanym oświetleniu - zauważył. Poszli na spacer, trzymając się za ręce; cienie na krętych ścieżkach były niemal namacalnie czarne, a wyrazistość księżycy w tę bezwietrzną noc przybliżała go wręcz irytująco. - Chyba jest bliżej Ziemi niż zwykle czy co - powiedział, mrużąc oczy.

Kochał poezję nauki, ale szczegóły uważał za zbyt matematyczne. W tej niezwyklej poświęceniu kości policzkowe zaznaczały mu się wyraźniej niż zwykle, męska szczeka wyglądała jak wyrzeźbiona. Byli z Leną tego samego wzrostu. Od zawsze wiedziała, że ją uwielbia, ale będąc z nim sam na sam, uświadamiała sobie także jego cielesne potrzeby. Nagle wciągnął ją na polankę, pod krzaki, i delikatnie ułożył na ziemi. Całowali się, pieścił jej piersi, a potem przywarł do niej całym ciałem i próbował rozsunąć jej nogi. Wyczuwszy jego twardość, zastygła z zakłopotania.

- Nie mogę, Clement. - Pocałowała go przeproszająco. Nikomu przedtem nie pozwoliła nawet na tyle i chciała, by o tym zapomniał.

- Pewnego dnia musimy - rzekł, zsuwając się z niej.

- Dlaczego? - zaśmiała się nerwowo.

- Dlatego! Zobacz, co kupiłem.

Podniósł kondom tak, by go widziała. Wzięła do ręki gładką gumkę i przesunęła po niej kciukiem. Starła się nie myśleć, że wszystkie wiersze, jakie Clement jej poświęcił - sonety, wilanele, haiku - to tylko zwykła sztuczka, mająca ją przygotować na ten śmieszny, gumowy balonik. Podniosła go do oka jak monokl i spojrzała w niebo.

- Widać przez to księżyc.

- Co robisz, do diabła! - roześmiał się i usiadł.

- Szaleństwo Vanetzkich! - Usiadła, chichocząc, i oddała mu prezerwatywę.

- Chodzi o twoją mamę?

- Może powinieneś znaleźć sobie kogoś innego - odparła ze śmiertelną powagą. - Ciągle możemy być przyjaciółmi. - I po chwili dodała: - Naprawdę pojmuję, po co żyję.

Clementa zawsze wzruszała ta jej huśtawka nastrojów - „polskie głębin”, jak je nazywał. Wiedział, że Lena jest w intrygujący sposób związana z jakąś tajemnicą za Atlantykiem, w mrokach polskiego środka Europy, miejsc, którego żadne z nich nie widziało na oczy.

- Czyj est wiersz o czymś takim?

- To znaczy o czym?

- O dziewczynie, która nie rozumie własnych myśli.

- Zapewne jest coś Emily Dickinson, ale nie mam na myśli nic konkretnego. Każdy wiersz miłosny, jaki znam, kończy się chwałą lub śmiercią.

Objął ramionami kolana i spójrział na księżyc:

- Jeszcze nigdy takiego go nie widziałem. To dlatego doprowadza wilki do wycia.

- A kobiety do szaleństwa. Dlaczego tylko kobiety szaleją od księżyca?

- Cóż, widocznie mają nad nami taką przewagę.

Pochyliła się do przodu, aby gałąź nie zasłaniała jej widoku na ten blask.

- Myślę, że mogłabym od tego zwariować. - Naprawdę obawiała się o swoje zdrowie psychiczne. Wspomnienie śmierci ojca w stanie obłądki nigdy jej nie opuściło.

- Jakież bliski się wydaje, zupełnie jak oko w niebiosach. Potrafię zrozumieć, że budzi w ludziach lęk. Można by pomyśleć, że przy tej jasności powinien być ciepły, ale on jest zimny, czyż nie? Jak światło śmierci.

Ta urocza, dziecinna ciekawość studziła niecierpliwe oczekiwanie na jej ciało, które wciąż miał nadzieję osiąść. Czy ona tam na dole jest blondynką? Ajednocześnie traktował ją jak świętość i unikat. Za jedyną niedoskonałość uważał zbyt wydatne kości policzkowe (ale tylko trochę) i szeroki polski nos. Jednakże czasy porównywania Leny do ideału miał już za sobą. Wziął jej rękę i przycisnął wewnątrz dłoni do warg.

- Cathleen ni Houlihan<sup>4</sup>, Elizabeth Barret Browning, Queen Mab<sup>5</sup>

- doprowadził ją do żalostnego chichotu - Betty Grabie\* \* \*... kto j jeszcze?

- Ta od Karamazowów?

---

4 Tytułowa postać ze sztuki W.B. Yeatsa: wcielenie Irlandii.

5 Królowa wrózek, o której opowiada Merkurio w sztuce Szekspira „Romeo i Julia”.

-Ach tak, Gruszeńka. Kto jeszcze? Peter-Paul Mounds<sup>6</sup>, Baby Ruth<sup>7</sup>, Kleopatra... - Chwyliła go za głowę i wpiła się w jego usta. Nie chciała go rozczarowywać, jednak im bardziej starała się wzbudzić w sobie namiętność, tym mniej ją czuła. Może gdyby naprawdę to zrobili, jakaś sprężyna by się w niej rozkręciła. On był z pewnością łagodny i miły, i jeśli już ktoś miałby w nią wejść, zanim znajdzie sobie męża, równie dobrze mógł to być Clement. Albo i nie. Nie była pewna niczego. Pozwoliła wsunąć sobie język do ust; zaskoczony tą gotowością Clement obrócił ją na plecy, położył się na niej i zaczął pompować, ale ona się wysliznęła, wstała i przeszła na ścieżkę. Kiedy ją dogonił i dostrzegł, jak bardzo jest spięta, zaczął przeproszać. Te frustrujące zmiany nastroju wisiały mu nad głową niczym kolorowa zabawka nad łóżeczkiem dziecka. W niemal grobowym milczeniu doszli do drogi, a potem do jej stacji. Stanęli pod głębokim wiktoriańskim gankiem w blasku księżycy, który rozciągał na trawie ich olbrzymie, czamejak atrament sylwetki.

-Nie wiedziałabym, co mam robić.

-Mógłbym cię nauczyć.

-Będę skrępowana.

-Tylko przez parę minut. To łatwe. - Oboje wybuchnęli śmiechem.

Przepadał za całowaniem jej roześmianych ust. Dotknęła jego warg koniuszkami palców.

Stał na chodniku, obserwując jej niesamowite kształty, gdy szła ścieżką w stronę domu - okrągły tyłek, pełne uda... Odwróciła się w drzwiach, pomachała mu i znikła.

Wiedział, że musi się z nią ożenić, choć zakrawało to na szaleństwo. Ale jak? Nie miał dosłownie nic, nawet żadnych perspektyw, chyba że zdobyłby kolejną nagrodę albo otrzymał posadę asystenta na wydziale. Na ten etat czyhały jednak setki chętnych, i to z wyższymi niż on stopniami naukowymi. Najprawdopodobniej więc ją straci. Stojąc na zalanym księżycowym światłem chodniku, trzydzieści metrów od miejsca, gdzie pewnie się w tej chwili rozbierała, czuł, jak zaczyna w nim wzbierać erekcja.

- Czemu zawracasz sobie nią głowę? - zapytała Clementa pani Vanetzki. Clyde, czarno-biały kundel drzemał rozciągnięty w cieniu u jej stóp. Było gorące niedzielne popołudnie w przemysłowym miasteczku, ostatni dzień ferii wiosennych. Nawet wartka rzeka Winship poniżej domu połyskiwała oleistym ciepłem, a pasma dymu z pociągu, który dawno odjechał, wisiały w nieruchomym powietrzu nad torami biegnącymi wzdłuż jej brzegu.

- Nie wiem - odparł Clement. - Myślę, że kiedyś może stać się bogata.

-Ona? Też coś!

Na wizytę Clementa pani Vanetzki włożyła starannie wyprasowaną niebieską bawełnianą suknię z lamówką wokół kołnierzyka i białe półbuty. Rudawe włosy miała zaczesane do góry i podpięte na czubku głowy białym grzebieniem, co podkreślało zarówno jej wzrost - była o pół głowy wyższa od córki - jak i szeroko rozstawione kości policzkowe i wysokie czoło. Pod jej wyzywającymi żarcikami Clement wyczuwał straszliwą siłę osoby, która z godnością przeżyła klęskę, coś, czego nie mógł pogodzić ze swoimi nadziejami. Na kolorowanej fotografii w salonie sprzed zaledwie dziesięciu lat matka Leny stała dumnie obok męża, który miał długie włosy, byronowski fular i fedorę w ręku. Jego niezrozumienie dla niekiedy śmiertelnej pogardy, jaką Ameryka żywiła dla cudzoziemskiej, nie zdążyło jeszcze przywiązać go do noszy jako paranoika, który bredząc po polsku w ambulansie, wyzywał żonę od kurew, a ludzkość od morderców. Teraz pani Vanetzki pozostała już tylko Lena - ta odpowiedzialna, „jedyna, co ma mózg w głowie”. Młodsza córka Patsy przeszła dwie aborcje w konsekwencji i związków z różnymi facetami, przy czym nazwiska jednego z nich nie знаła. Miała potwornie donośny jęklivy głos i popłoch w oczach. To słodka dziewczyna, naprawdę, o wielkim sercu, ale po prostu z pustką w głowie. Pewnego razu oznajmiła elementowi, że skoro, jak jej wiadomo, Lena nie wpuszcza go do łóżka, ona, Patsy, nie

---

<sup>6</sup> Nazwa popularnych cukierków.

<sup>7</sup> Nazwa popularnego batonika.

miałaby nic przeciwko zastąpieniu jej „parę razy”. W jej rzeczowej ofercie nie kryła się ani zazdrość, ani złośliwość, i bez względu na jego decyzję, na pewno by się nie obraziła.

- Hej, Clement, jak-ona-ci-nie-da-to-może-ja? - Czysty wyglup, oczywiście, gdyby nie ten niezaprzeczalny błysk w jej oku.

Steve, najmłodszy z rodzeństwa, dla matki jakby się nie liczył. Był dobry, nudny i niezdarny - chłopska gałąź rodziny. Podobnie jak Patsy przypominał karpia: trzymał się blisko dna stawu, ale przynajmniej nie miał fioła na punkcie seksu. Co zaskakujące, firma Hamilton Propeller go cenila. Widząc, że jest solidnym pracownikiem, już po sześciu miesiącach awansowali go do działu pomiarów precyzyjnych - Steve'a, który miał dopiero dziewiętnaście lat i za sobą tylko dwa lata szkoły średniej. Niby wszystko w porządku, chociaż panią Vanetzki martwiły jego ostatnie numery.

- Wiesz, Steve ostatnio dużo spaceruje przez sen - zwróciła się do Leny, wyraźnie spodziewając się po wykształconej w college'u córce stosownej interpretacji.

- Może mu trzeba dziewczyny - zaryzykowała Lena. Clement uznał za czystą ironię tę zaskakującą łatwość, z jaką mówiła o sprawach seksu.

- Niestety w tym mieście nie ma kurew - zauważyła pani Vanetzki, drapiąc się po brzuchu. - Patsy wciąż mu powtarza, żeby pojechał na weekend do Hartford, ale on nie rozumie, o czym ona mówi. A co z tobą, Clement?

- Ze mną? - Clement zaczerwienił się, wyobrażając sobie, że zaraz go odpyta, czy spał z Leną.

- Może mógłbyś mu opowiedzieć o ptaszkach i pszczołkach. Przypuszczam, że nic o nich nie wie. - Lena i Clement roześmiali się, a pani Vanetzki pozwoliła sobie na tłumiony uśmiech. - Naprawdę nie sądzę, by chociaż słyszał o tych sprawach, ale co na to poradzić?

- Cóż, ktoś go musi nauczyć! - wykrzyknęła Lena, zatroskana permanentnym dziecięctwem brata. Clement czuł się zbity z tropu: więc aby zmusić rodzinę do stawienia czoła problemom, potrafiła uruchomić całe pokłady energii, ale wobec własnych wciąż stosowała uniki!

- Zdaje się, że pogiął stary rower Patsy - powiedziała zaintrygowana pani Vanetzki.

- Pogiął jej rower!

- Wszyscy wtedy spaliśmy. Steve chyba chodził we śnie, wyszedł na dwór i pogiął przedni widelec gołymi rękami. To przez tę siłę, co w nim siedzi. - Zwróciła się do Clementa: - Może pogadasz z nim o wyprawie do Hartford w któryś weekend? - Zanim jednak zdołał odpowiedzieć, powstrzymała go ruchem ręki: - Ach wy, mężczyźni, nigdy nie wiecie, co robić, gdy przyjdzie do praktyki.

Lena pośpieszyła z obroną:

- On chętnie pogada ze Steve'em. Prawda, Clement?

- Oczywiście, że chętnie pogadam.

- A wiesz coś o seksie?

- Mamo! - Lena spłonęła rumieńcem i zaśmiała się głośno, ale jej matka ledwie się uśmiechnęła.

- No, wiem to i owo. - Clement próbował zatrzeć graniczące z pogardą niedowierzanie kobiety.

- Ależ, mamu, bądź miła dla Clementa - poprosiła Lena, siadając obok niej na bujaku.

- Och, on wie, że nie ma się czym przejmować. Tak sobie gadam. - Ale już mu przypięła łatkę nieodpowiedniego. Odepchnęła się piętą od podłogi, wprawiając bujak w ruch.

Zamiłkli. Bujak skrzybiał znajomo, na ulicy panowała cisza. W końcu pani Vanetzki zwróciła się do Clementa:

- Główną rzeczą, która rujnuje ludziom życie, jest seks.

- Och, no zaraz... nawet jak się kogoś kocha? Bo ja kocham tę szaloną dziewczynę - wyznał Clement.

- Ach, miłość.

Lena nerwowo zachichotała zza kłębow dymu.

- Czyż nie ma czegoś takiego? - spytał Clement.

- Ameryka zabija każdego, kto nie jest realistą. Ty zdobyłeś wykształcenie, jesteś przystojny, a moja córka ma kompletnie pomieszane w głowie i nigdy się nie zmienia. Nikt się nie zmienia, tylko się coraz bardziej zatracza, tak jak kłębek, z którego nic się odwija, i tyle. Wyświadczyć sobie przysługę: zapomnij o niej albo zostańcie przyjaciółmi, ale się nie żęń. Powinieneś znaleźć sobie bystrą kobietę o praktycznym umyśle i klarownej psychice. Małżeństwo to coś na zawsze, ale dobra żona musi być praktyczna. Ta dziewczyna nie ma pojęcia o praktycznych sprawach, jest marzycielką, jak jej biedny ojciec. Człowiek przybywa do tego kraju, spodziewając się odrobiny respektu przynajmniej dla swego nazwiska, ale nikt tu nie uszanuje Polaczka. Co oni wiedzieli o Vanetzkich, wywodzących się z książąt litewskich? No więc on, człowiek z inżynierskim doświadczeniem, dostał bzika na punkcie tej odrobiny szacunku. W Stanach każdy chciał się zaraz z nim zaprzyjaźnić, w tym ludzie, do których w starym kraju nawet by się nie odezwał, chyba żeby poprosić o wyczyszczenie butów. Jedzie zatem do Akron, do Detroit, a potem tutaj i rozgląda się za jakimś kulturalnym kręgiem. Ot, i natura ojca Leny. Nie wiedział, że tutaj nie jesteś ludzką istotą z nazwiskiem, że liczy się tylko sukces albo porażka. I tak, plotąc trzy po trzy, zszedł do grobu. Nie mów o małżeństwie, proszę, dla waszego wspólnego dobra, zostawij spokój. Nasza Patsy... tak, ona powinna wyjść za męża. Tylko małżeństwo może ją ratować, choć i w to wątpię. Ale nie Lenę. - Skierowała wzrok na starszą córkę, która chichotała w rozkosznym zawstydzeniu przez całą jej tyradę. - Powiedziałaś mu, jak jesteś zagubiona?

- Tak. - Lena potwierdziła niechętnie. - On wie.

Pani Vanetzki westchnęła, przycisnęła rękę do spoconego policzka i zakłósała się lekko na boki. Jest w kontakcie z tym, co czas ma dla niej w zanadrzu, pomyślał Clement, wzruszony tą transcendencją w jej naturze, nawet jeśli, jak najego gust, było to przesadnie tragiczne.

- Z czego macie zamiar żyć? Bo mogę cię zapewnić, że w sensie finansowym ona nigdy do niczego nie dojdzie.

- Mamo! - zaprotestowała Lena, zachwycona feministyczną nutą w szczerości jej matki. - Mamo, nie jestem aż tak zła.

- Ale ku temu zmierzasz. - Zwróciła się raz jeszcze z pytaniem do Clementa; - Z czego będziecie żyli?

- Cóż, jeszcze nie wiem.

- Jeszcze? Czy ty nie wiesz, że na każdy dzień potrzeba pieniędzy? „Jeszcze”, powiadasz? Prowadzenie domu nie czeka na „jeszcze”. Musisz wiedzieć, z czego będziecie żyli. Ale widzę, że jesteś taki jak ona - także nie patrzysz na świat realnie. Czy nie ma czegoś na ten temat u Szekspira?

- U Szekspira? - zdziwił się Clement.

- To wy mówicie, że wszystko jest u Szekspira. Powiedźcie, jak piękna dziewczyna bez przyszłości ma wyjść za poetę bez posady? Mój Boże, ależ z was dzieciaki! -1 zaśmiała się, potrząsając bezradnie głową. Clement i Lena, zadowoleni, że przestała ich osądzać, zawtórowali jej, szczęśliwi, że podziela ich rozterki w tym zwariowanym życiu.

- Mamo, przecież to nie stanie się zaraz. Muszę najpierw skończyć studia, a potem, jeśli uda mi się dostać pracę...

- Dostanie pracę, ma znakomite stopnie - wtrącił Clement z pełnym przekonaniem.

- A ty? Jest praca dla poetów? Czemu nie próbujesz być sławny? Czy j est w Ameryce j jakiś sławny poeta?

- Jasne, że są sławni amerykańscy poeci, ale prawdopodobnie nie usłyszałyby pani o nich.

- To czemu nazywasz ich sławnymi, skoro nikt nigdy o nich nie słyszał?

- Oni są sławni wśród innych poetów i ludzi interesujących się poezją.

- Napisz jakąś historyjkę, wtedy będziesz sławny. Nie te poezje. A potem może ktoś j aprzerobi na film...

- Mamo, on nie pisuje takich rzeczy.

- Wiem, nie musisz mi tego mówić.

Za drzwiami z siatki pojawiła się Patsy w staniku i majtkach.

- Mamuś, widziałaś gdzieś mój drugi stanik? - spytała udreńczonym głosem.

- Wisi w łazience. Czemu nie sprawdzisz czasem sama, tylko ciągle „mamuś, mamuś”.

- Patrzyłam.

- To spójrz jeszcze raz, tylko przedtem otwórz oczy. A kiedy zaczniesz prac swoje rzeczy?

Patsy otworzyła siatkowe drzwi i weszła na ganek bosą, z mokrymi włosami zawiniętymi w turban z ręcznika i ramionami skrzyżowanymi na wielkich piersiach ze względu na Clementa. W zanikającym świetle dnia widział wspaniałość jej potężnych ud, szerokich pleców i wydatnego biustu. Wiedzioną impulsem Patsy chwyciła oburącz twarz matki i pocałowała ją mocno.

- Kocham cię, mamo.

- Tu jest mężczyzna, a ty paradujesz prawie goła?! Idź do środka, wariatko!

- To tylko Clement. On nie ma nic przeciwko temu.

- Odwróciła się plecami do matki i siostry, a przodem do Clementa, którego serce mocniej zabiło na widok jej wypiętrzonych piersi w przyciasnym staniku.

Przeszkadzam ci, Clement? - spytała kpiąco z tym swoim piskliwym śmieszkiem.

- Nie.

Pani Vanetzki wychyliła się do przodu i walnęła córkę w tyłek otwartą dłonią. Potem się roześmiała, zadowolona z żartu.

- Au! To boli! - Patsy wbiegła do domu, trzymając się za pośladek.

Było już prawie ciemno. Niedaleko przejeżdżał z łoskotem pociąg towarowy. Lena zapaliła papierosa i opadła na poduszki bujaka.

- Clement chce napisać sztukę, mamuś.

- On?

- Tak, na pewno potrafi.

- To świetnie - rzekła pani Vanetzki takim tonem, jakby to był żart. Wobec jej czarnego niedowiarstwa wszyscy zamilkli.

Później poszli na spacer. W sąsiedztwie były bungalowy i trzypiętrowe drewniane czynszówki dla robotników.

- Ona chyba ma rację - powiedział Clement z cichą nadzieją, że Lena się z nim nie zgodzi.

- W sprawie naszego ślubu?

- Byłoby to niemądre.

- Zapewne - zgodziła się z ulgą. Kategorie odłożenie decyzji dawało jej taki sam komfort psychiczny jakby ją podjęta. Chwyciła

Clementa za rękę wyraźnie podniesiona na duchu tą konkretyzacją nieokreślonego.

Nie mógł się zebrać na odwagę, aby zamieścić to ogłoszenie. Zaczynał się zastanawiać, czy nie uznają tego za perwersję, stopniowo jednak nabrał przekonania, że jest to jego obowiązek wobec siebie. Pewnego dnia kupił „Village Voice” i stojąc na rogu Prince i Broadwayu, przeglądał dział ogłoszeń osobistych: strona za stroną oferty ociekające seksem, szukanie towarzystwa, propozycje odkryć parapsychologicznych i ulepszenia sprawności fizycznej - istne pole lodowe z ludzkimi głosami, wołającymi o ratunek z głębi szczelin. Czysty Dante, pomyślał. Wziął gazetę do domu, położył ją na pustym biurku, próbując wymyślić jakąś strategię, ale w końcu zdecydował się na bezpośredni krok: „Potrzebna duża kobieta do nieszkodliwego doświadczenia, wiek obojętny, ale obwisła skóra wykluczona. Zdjęcia”.

Po pięciu nieudanych próbach - opasłe nagie kobiety, obfotografowane ze wszystkich stron - zobaczył zdjęcie Carol Mundt i od pierwszej chwili wiedział, że jest idealna z tą odrzuconą w tył głową, jak w ataku śmiechu. Kiedy zjawiła się u jego drzwi - w żółtej minispódniczce, białym berecie i czarnej bluzce, o piętnaście centymetrów wyższa od niego i wzruszająco staromodna z tym swoim nieśmiałym, dzielnym uśmiechem - miał

chęć wziąć ją w ramiona, od razu pewien, że dzięki tej dziewczynie jego koncepcja nabierze wartości. Wreszcie coś zrobił w sprawie swej pustki.

Usadowiwszy się w fotelu, Carol bez przekonania obciągnęła spódniczkę. Starła się sprawiać wrażenie sceptycznej, zgrywając się na nieznaną z baru. Pobrzękiwała ciężkimi bransoletkami i łańcuszkami, jej koński śmiech - niemal rzenie - raził czuły słuch

Clementa. W gruncie rzeczy było w niej coś dziewiczego, co ze wszystkich sił starała się ukryć, może nawet ekstradziejczego, jak najlepsza oliwa z pierwszego tłoczenia, porównanie, które postanowił zapamiętać do przyszłego użytku.

-No więc o co tu chodzi? Czy jestem dostatecznie rozłożysta?

-To bardzo proste. Jestem powieściopisarzem.

-Naprawdę? - wyraźnie mu niedowierzała.

Zdjął z półki jedną ze swoich książek i podał dziewczynie. Spojrzała na fotografię na obwolucie i jej podejrzenia znikły.

-No dobra, mów...

-Oczywiście będziesz musiała się rozebrać.

-Aha. - Wyglądała na podekscytowaną, jakby przygotowywała się do wyzwania.

-I chcę pisać na tobie wszędzie, ponieważ, widzisz, historia, którą mam w głowie, wymaga całej twojej powierzchni. Chociaż może to przeceniam. Jeszcze nie jestem pewien, ale mógłby to być pierwszy rozdział powieści. - Następnie wyjaśnił swój problem blokady twórczej i wyraził nadzieję, że pisanie na jej skórze wyzwoli go z tego stanu. Oczy dziewczyny rozszerzyły się ze współczucia i fascynacji; Clement widział, że jest dumna z okazanego jej zaufania. - Może nic z tego nie wyjdzie... sam nie wiem.

- Cóż, warto spróbować, no nie? Mam na myśli, że jak nie zaryzykujesz, to nic nie poczujesz.

Grając na zwłokę, przesunął na biurku pudełeczko ze spinaczami i oprawny w skórę bibularz - dawny prezent gwiazdkowy od Leny. Jak ma powiedzieć, żeby się rozebrała? Szaleństwo tego planu uderzyło w niego jak rycząca fala, grożąc ponownym zepchnięciem w niemoc.

- Rozbierz się, proszę - wymamrotał wreszcie to, czego nigdy nie ośmielił się powiedzieć żadnej kobiecie, a już na pewno nie kobiecie stojącej. Po paru ruchach - coś jakby wzruszenie ramion i otrząśnięcie - stanęła przed nim naga, tylko w białych figach.

Na widok spojrzenia Clementa zapytała: - Majtki też?

- No... jeśli nie masz nic przeciwko temu? Bo tak jest... Sam nie wiem, ale brak majtek jakoś mnie bardziej stymuluje, rozumiesz? I chciałbym wykorzystać ten rej on.

Zsunęła je bez protestu i usiadła na biurku.

- Którą stroną? - zapytała. Najwyraźniej miała przedtem skrupuły i teraz, pokonując je, pozostawała w niepewności, stanie umysłu, z którym Clement praktycznie się nie rozstawał. Od razu stali się sobie bliżsi.

- Najpierw na brzuchu. Chcesz prześcieradło?

- Tak jest dobrze - odparła, kładąc się na biurku. Szeroka przestrzeń jej opalonych pleców i kuliste białe pośladki zdawały się jaskrawo kontrastować z poprzednią jałową suchością biurka. Ze srebrnego grawerowanego pucharu - jednej z dawnych nagród - wyjął jeden z licznych pisaków. Czuł jakiś wewnętrzny dygot. Co on wyprawia? Czy już do reszty stracił rozum?

- Dobrze się czujesz? - zapytała.

- Tak! Właśnie myślę.

Było pewne opowiadanie - kilka miesięcy, może rok temu - które zaczynał wiele razy. Wtedy, jak grom z jasnego nieba, poraziła go myśl, że wyczerpał swój talent. A teraz, z tym ochoczym ciałem pod ręką, czuł, że odzyskuje wiarę w siebie.

- Na pewno nic ci nie jest? - powtórzyła.

To nie było jakieś wspaniałe opowiadanie ani nawet specjalnie dobre, ale zawierało opis jego pierwszego spotkania z późniejszą żoną, gdy fala zbiła ich z nóg i zepchnęła ku plaży tak, że aż się przewrócili. Gdy stanął

na nogach, podciągając kąpielówki niemal zdarte przez wodę, a ona, zataczając się, nasuwała kostium na pierś, która się wymknęła na wierzch w kipieli, poczuł, że są sobie przeznaczeni, jak Grecy wynurzający się z oceanu w jakimś micie o zatonięciu i powtórny narodzeniu.

Był wtedy początkującym poetą, a ona czciła Emily Dickinson i zarywała dla niej noce.

- Morze próbowało cię rozebrać - zauważył.

- Minotaur. - Oczy jej się zaszklily, co go ucieszyło, bo pewniej się czuł w towarzystwie osób wymykających się ramom, a jak się wkrótce okazało, ona taka była. Wypluci przez morze - jak widział tę scenę przez całe lata później - instynktownie dostrzegli w sobie wzajemnie ten sam błysk udręki, to samo pragnienie, by uciec od zasufladkowania. Napisze „Śmierć przez etykietkę”, pean na cześć mgły jako siły twórczej.

Teraz, z czarnym pisakiem w ręce, położył drugą na ramieniu Carol. Ciepło jej jędrnej skóry przyprawiło go o wstrząs. Nieczęsto jego fantazje stawały się rzeczywistością; fakt, że Carol zgodziła się zrobić coś takiego dla niego, w końcu obcego człowieka, omal nie doprowadziło go do łez. Dobroć ludzkiej natury. Wyczuwał, że musiała zebrać całą odwagę, aby odpowiedzieć na ogłoszenie, ale coś go powstrzymywało od wnikania w jej życie. Jak dotąd nie wydawała się wariatką. Może trochę nawiedzona, ale któż nie był?

- Dziękuję ci, C-arol.

- W porządku, nie ma pośpiechu.

Poczuł, że zaczyna nabrzmiewać. Tak, jak to się zdarzało dawno, dawno temu, gdy pisał. Pisał jak mężczyzna, tym właśnie swoim trafnie nazwanym organem, a kilka litrów dodatkowej krwi zdawało się rozsadać mu żyły. Pochylił się nad plecami C-arol, pewniej dociskając teraz jej ramię, i powoli pisał: „Fala nabierała wysokości daleko w morzu, tam gdzie piaskowy szelf opadał w głębinę, kiedy para nieznajomych próbowała płynąć pod prąd przyboju ku swemu przeznaczeniu”. Ze zdumieniem zobaczył klarowne fragmenty swych młodzieńczych lat i świeżej męskości, spięte niczym łukiem tęczy niezachwianą wiarą w życie i jego niemal zapomniane obietnice. Czuł zapach ciała C-arol, kiedy poddawała się naciskowi jego ręki, zapach zielonkawego płodnego morza, szydzący jakby z jego wysuszonej siły. Jak opisać ten niesamowity ból w sercu?

Do tego twarz Leny rosła mu przed oczami, taka sama jak ponad dwadzieścia lat temu: z białkami nieco przekrwionymi od słonej wody, z przylepionymi do skóry kręconymi włosami, roześmiana... Widział jej młode, bujne ciało, kiedy szła przez plażę ku wydmie, gdzie zanosząc się śmiechem, padła bez tchu na piasek, widział siebie, już rozkochanego w jej postaci... Po tym, jak morze ich razem sponiewierało, oboje poczuli się bliscy sobie, swobodniejsi. Wydawało się, że były to pierwsze od wielu lat obrazy, które zobaczył, toteż zapełniał pisakiem kolejno plecy, potem pośladki, lewe i prawe udo C-arol, a kiedy odwróciła się na wznak, pisał po klatce piersiowej, brzuchu i obu nogach aż do kostek, gdzie cudownym zbiegiem okoliczności historia ledwo zamaskowanej pierwszej zdrady małżeńskiej doszła do łaskawego końca. Clement czuł, że w jakiś magiczny sposób powierzył prawdę ciału tej kobiety. Czy było to opowiadanie czy początek powieści?

Dziwne, nie miało to dla niego znaczenia, wiedział jednak, że musi natychmiast pokazać swe dzieło redaktorowi.

- Skończyłem na kostce! - wykrzyknął, zaskoczony chłopięcym brzmieniem swego głosu.

- No super! Co teraz? - Usiadła z rozrzuconymi po dziecięcemu rękami, tak aby niczego nie rozmazać.

Ona w ogóle nie miała pojęcia, co na niej napisał jak na kartce papieru!

- Mógłbym cię zeskanować, ale nie mam skanera. Albo przepisać tekst do laptopa, tylko to zajmie trochę czasu, bo nie stukam zbyt szybko. Nie pomyślałem o tym... chyba żebym zawiózł cię taksówką prosto do wydawcy. - I dodał szybko: - Tak się tylko wygłupiam. Mógłby domagać się skrótów.

Problem rozwiązali w ten sposób, że Carol usiadła do laptopa, a Clement dyktował jej tekst z pleców, przy czym od czasu do czasu wybuchali śmiechem. Co do przodu, wpadła na pomysł posłużenia się dużym lustrem, tylko wtedy wszystko byłoby odwrócone. Ostatecznie więc Clement usiadł przed nią i wstukiwał tekst do laptopa, który Carol trzymała na kolanach. Gdy doszedł do ud, musiała wstać, a przy spisywaniu z łydek i kostek on przeniósł się na podłogę.

Kiedy już wstał, po raz pierwszy spojrzeli sobie głęboko w oczy. Potem, może dlatego, że połączyło ich coś

tak intymnego, a zarazem niewyobrażalnego, nie wiedzieli, co dalej, i zaczęli chichotać, aż w końcu dostali ataku histerycznego śmiechu. Przepony tak im drgały, że musieli oprzeć czoła na biurku i przestać na siebie patrzeć.

Pierwszy odzyskał głos Clement:

- Zapraszam pod prysznic, jeśli masz ochotę. - To z niewiadomych powodów wywołało kolejne paroksyzmy śmiechu, którym poddali się z rozkosznąbezdarnością.

Z trudem łapiąc oddech, osunęli się na podłogę i w tym momencie śmiech zamarł im na ustach. Leżeli obok siebie, wypełnieni nieoczekiwaną, dziecięcą wiedzą o sobie. Całkowicie spokojni, sapali jeszcze przez chwilę twarzą w twarz na orientalnym dywanie.

- Chyba już pójdę, co nie? - zapytała.

- Jak to z siebie zmyjesz? - zatroskał się nie wiadomo czemu Clement.

- Po prostu się wykąpię.

-Aplecy?

- Znam kogoś, kto mi umyje.

- Mężczyzna?

- Nie, sąsiadka z korytarza.

- Ale wolałbym, aby nikt tego jeszcze nie czytał. Niejestem całkiem pewien, czy tekst jest już gotowy do publikacji, rozumiesz? Nie chcę, żeby ktoś to czytał. Mam na myśli... - Wiercił się niespokojnie, instynktownie broniąc się przed ciekawością tej nieznannej dziewczyny od mycia pleców; może zresztą chodziło o zachowanie intymności jego dzieła? Bóg jeden wie, czemu traktował wciąż jej ciało zbyt osobiście, by pozwolić na nie patrzeć komuś obcemu. Podparł się na łokciu. Rozsypane po dywanie włosy Carol sprawiały wrażenie, jakby przed chwilą skończyli się kochać.

- Nie mogę cię tak wypuścić.

- Co masz na myśli? - Wjej głosie pojawiła się nutka nadziei.

- Wspólni znajomi rozpoznają, że piszę o żonie. Nie jestem na to przygotowany.

- Więc dlaczego to napisałeś?

- To tylko surowy materiał, w którym dokonałbym później zmian. Nie możesz tak wyjść. Weźmiemy razem prysznic i wyszoruję ci plecy, dobrze?

- Jasne. Zresztą i tak nie pozwoliłabym nikomu na czytanie.

- Wiem, ale będę się czuł spokojniejszy, jeśli to zniknie.

W małej metalowej kabinie prysznicowej wydawała się tak ogromna, że po kilku minutach szorowania szczotką jej pleców zaczął się męczyć. Carol umyła się z przodu, pozostawiając mu tył ud, łydek i kostek. Kiedy była już całkiem czysta, wciąż z wodą spływającą po ramionach, Clement przyciągnął ją do siebie, nie mogąc oprzeć się potężnej mocy jej ciała.

- Lepiej ci teraz? - zapytała, a on poczuł się tak, jakby nagle resztki mózgu spłynęły mu z czaszki do krocza.

Dziwił się później, czemu seks z nią pod strumieniem wody wydał mu się tak łatwy i naturalny, natomiast wcześniej, gdy miała skórę pokrytą jego słowami, sama myśl o kontakcie cielesnym była jak przedzieranie się przez ciernisty gąszcz. Szkoda, że nie może przedyskutować tej zagadki z Leną. Oczywiście nie wchodziło to w rachubę, choć nie był przekonany, czy tak być powinno.

Kiedy już pomógł jej się wytrzeć, Carol włożyła majtki, stanik i bluzkę, potem wciągnęła przez nogi spódniczkę. Clement usiadł przy biurku i wyjął z szuflady książeczkę czekową, ale ona szybko dotknęła jego ręki.

- Nic mi nie jesteś winien. - Mokre włosy same w sobie świadczyły o ich niedawnej intymności, i przemianie, jakiej dzięki niemu doznała.

- Ależ ja chcę zapłacić.

- Nie dziś. - Przez jej twarz przemknął cień zakłopotania, być może nie zamierzała tak jawnie sugerować, że mogłaby jeszcze wrócić. - Może następnym razem, jeśli znów mnie zechcesz. Albo i nie? - Znacząco, skończyła już, zgadza się? - Dawna obcesowość wróciła. - Chyba nie można dwa razy mieć pierwszego razu. - Zaśmiała się

cicho, ale oczy patrzyły błagalnie.

Wstał, chcąc ją pocałować na pożegnanie, ale ona się uchyliła i trafił w policzek.

-Pewnie masz rację.

Teraz jej twarz jakby stężała.

-To już może wezmę te pieniądze.

- Słusznie. - Rzeczywistość zawsze przynosi ulgę, ale czemu musi iść w parze z gniewem? Usiadł, wypisał czek i wręczył jej z ukłuciem wstydu.

Złożyła czek i wepchnęła go do portmonetki.

- Co za dzień! - krzyknęła i znów wydała z siebie ten koński rechot. Zdziwił się, bo zaraz po przełamaniu pierwszych lodów przestała śmiać się w ten sposób. Widać wróciła już myślą do polowań i przedzierania się przez tundrę. Wyjrzała ze swej kryjówki, ale ledwie zdążyła nabrać wiary w siebie, czmychnęła z powrotem.

Po jej wyjściu siedział przy biurku, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w swe dzieło - osiemnaście stron. Świeżo umyte ciało i wypływ mocy sprawiły, że czuł się oczyszczony i podniesiony na duchu.

Położył dłoń na stosie kartek. Wystawiłem czubek buta poza granicę normalności, pomyślał, więc lepiej niech to będzie dobre. Przetarł oczy i właśnie zaczynał czytać swoje opowiadanie, gdy na dole trzasnęły drzwi. Lena wróciła! Jest w domu, razem ze swoją pomarszczoną podobną do wyschniętej papryki twarzą z obwisłymi kącikami ust, sflaczałymi piersiami, nienawistnym brązowym odorem nikotyny w oddechu. Znowu zaczęła w nim wzbierać złość, wypełniając go po brzegi nienawiścią do tej jej uporczywej samozagłady.

Wracając do opowiadania, czytając je raz po raz, czuł ogromne zdumienie, że ów zalew współczucia i miłości do żony wydaje się wciąż żywy, jakby to wszystko pisał bardzo młody i nieznany jeszcze nikomu poeta, ten sam, który nadal był w nim uwięziony - wolny śpiewak o duchu tak realnym i przekonującym, jak morskie fale. A gdyby tak spróbować przekształcić tę historię w rodzaj peanu na cześć Leny takiej, jaką była dawniej? Czyby się rozpoznała i zgodziła na pojednanie? Czytając, widział, jak doskonale piękna i poetyczna tkwiła wciąż w jakimś zakamarku jego umysłu, pamiętał, jak samo budzenie się z nią o poranku napełniało go kiedyś szczęściem i nadawało sens życiu. Spoglądając jednak znad kartek tekstu na puste szczyty dachów, czuł ucisk w sercu na myśl o Carol, której brutalnie młoda obecność ciągle wibrowała w pokoju. Niechby wróciła chociaż na jeden raz, aby znów mógł pisać na jej jędrnej skórze i dokopać się do owej odrobiny niewinności, wciąż jeszcze drżącej w ciemności jego wnętrza, do tego, co pozostało po miłości, która tak bała się wyjść na jaw, że już chyba znikła, uprowadzając z sobą talent.

## **Destylator**

### **Część I**

Tamta zima - z początku lat pięćdziesiątych - była w Nowym Jorku wyjątkowo sroga albo przynajmniej taka się wydawała Levinowi. Chyba że w wieku trzydziestu dziewięciu lat przedwcześnie się postarzał, którą to koncepcję w duchu nawet sobie chwalił. Po raz pierwszy w życiu naprawdę marzył, aby wyrwać się na słońce, toteż kiedy Jimmy F wrócił opalony z Haiti, Levin słuchał jego pełnych zachwyty opowieści o nowym powiewie demokracji w tym kraju z zainteresowaniem więcej niż grzecznościowym. Wyprzedzając swoje czasy, nabrał wątpliwości, czy polityka kiedykolwiek zmieniła ludzkie zachowanie na lepsze, i niezależnie od swych interesów zwrócił umysł ku muzyce i paru przykładowym książkom. Ale nawet w swej bardziej zaangażowanej w politykę przeszłości nigdy tak do końca nie dowierzał zapałowi Jimmy'ego, chociaż ciepło przyjmował jego naiwny respekt. Jimmy, dawny zapaśnik Colgate ze spłaszczonym nosem, z obwisłymi ramionami i wadą wymowy, był sentymentalnym komunistą. Bałwochwalczo czcił utalentowanych ludzi (kilku z nich reprezentował jako agent reklamowy), podobnie jak Stalina czy każde indywiduum, które zdradzało oznaki chełpienia się dowolną szacowną rolą, jaką akurat przypadło im w danym momencie odgrywać. Rebelia dla Jimmy'ego była czystą poezją. Gdy skończył siedem lat, jego bohaterski ojciec pocałował go w czubek głowy i wyjechał, aby wstąpić w szeregi rewolucjonistów w Boliwii. Nigdy stamtąd nie wrócił, jeśli nie liczyć kilku dwutygodniowych

wizyt, po których zniknął na dobre. A jednak niewzruszony strzęp nadziei na powrót ojca uparcie tkwił w umyśle Jimmy'ego, podsycając jego skłonność do bałwochwalstwa. Tym, co podziwiał u Marka Levina, była jego odwaga, jaką wykazał się, rzucając posadę w „Tribune” i przejmując nudny interes ojca w branży skórzanej, aby tylko nie identyfikować się z nową zimno wojenną polityką wydawcy, który domagał się agresywnych materiałów na temat Rosji. Prawda jednak była taka, że Levin miał głowę nabitą Marcellem Proustem. W ciągu ubiegłego roku książki Prousta wyparły z jego myśli niemal wszystko oprócz muzyki, ukochanej, acz wojowniczej żony Adele i krzepiącej hipochondrii.

Haiti dla Levina i Adele było ciemną stroną księżycy. Swą wiedzę na temat tego kraju czerpali z pozostawionych u dentysty egzemplarzy „National Geographic”, karnawałowych zdjęć tańczących na ulicach kobiet o wyglądzie dzikusek, niektórych uderzająco pięknych, oraz voodoo. Ale według Jimmy'ego trwała tam teraz zadziwiająca erupcja wysublimowanych talentów malarskich i literackich, eksplodujących niczym tłumiona siła natury w kraju rządzonym od pokoleń za pomocą noża i rewolweru. Stara przyjaciółka Jimmy'ego, Lilly Dwyer, dawna dziennikarka ze stałą rubryką w „New York Post”, z pewnością chętnie Levinow powita; przeprowadziła się tam na stałe wraz z matką emigrantką i znała dosłownie wszystkich, zwłaszcza młodych malarzy i intelektualistów, którzy próbowali przemycić lewicowo- demokratyczne reformy, zanim zostaną zamordowani lub wypędzeni z kraju. W ostatnich wyborach kandydata opozycji z żoną i czwórką dzieci rozsiekano na śmierć w ich własnym salonie, o którą to zbrodnię oskarżono nieznane ugrupowanie.

Levinowie zapalili się do wyjazdu. Po ostatnich zimowych wakacjach - ciągnących się w nieskończoność pięciu dniach na karaibskiej plaży - mieli serdecznie dość takiego bezmyślnego dogadzania sobie, ale ta podróż zapowiadała się inaczej. Byli poważnymi ludźmi; w epoce poprzedzającej wyświetlanie zagranicznych filmów w kinach w Nowym Jorku przyłączyli się do towarzystwa, które postanowiło urządzić seanse we własnych salonach. Szczególnie Mark pasjonował się dorobkiem Francuzów i Włochów. Zarówno on sam, jak i jego żona mieli spore osiągnięcia pianistyczne w dziedzinie muzyki klasycznej, zresztą poznali się w domu swojej nauczycielki fortepianu; on akurat kończył lekcję, gdy ona przyszła na swoją, i natychmiast przyciągnął ich ku sobie niespotykany wzrost. Mark mierzył nieco ponad dwa metry, a Adele równo metr dziewięćdziesiąt osiem. Kiedy zostali parą, poczuli, że to, co uważali dotąd za rodzaj deformacji, jest czymś zupełnie normalnym. Mark zwykł mawiać: „Nareszcie znalazłem dziewczynę, której mogę patrzeć w oczy nie tylko na siedząco”, na co ona odpowiadała: „Tak, ipewnego dnia zdecyduje się na mnie spojrzeć”.

Twarz Adeli pod kosmykami krótko obciętych włosów miała niemal orientalny wygląd - czarne oczy przy szeroko rozstawionych kościach policzkowych patrzyły nieco z ukosa. Mark miał długą, końską twarz, gęste, kręcone włosy i nieśmiały, wymuszony śmiech z wyjątkiem dni, kiedy, mamrocząc w rozpacz, po raz kolejny wierzył, że żołądek mu tragicznie opadł albo serce nieznacznie przesunęło się ku środkowi klatki piersiowej. Mimo to pod powierzchnią czujnej ironii mogli być na tyle naiwni, by dać się wciągnąć, przynajmniej na dyskretny dystans, w ten czy inny idealistyczny schemat naprawy społeczeństwa. Podczas lunchu w swym biurze na Long Island Mark czytał „The New Republic”, rzucając od czasu do czasu okiem na „TheNewMasses”, i pił mleko, klnąc nad dziełem Prousta „W poszukiwaniu straconego czasu” po francusku, który to język kochał tylko odrobinę mniej niż muzykę. Do Port-au-Prince polecili w ogłuszającym huku na pokładzie Pan American Constellation, nie dopuszczając do siebie przeczucia, że ta wyprawa jest kolejnym paciorkiem w sznurku ich pomyłek.

Ukończona rok wcześniej siedziba O'Dwyerów wisiała niczym chaotyczne betonowe gniazdo nad przystanią Port-au-Prince. W domu, który pani Pat O'Dwyer z zięciem Vincentem Breede'em zaprojektowali sami rzekomo w duchu Franka Lloyd Wrighta, po przestronnych pokojach z wielkimi oknami swobodnie hulał wiatr. Pani Pat znajdowała się właśnie w stanie głębokiej koncentracji nad pokerową rozgrywką z biskupem Kościoła episkopalnego Tunnelem, komandorem Banzem z krążownika Stanów Zjednoczonych zakotwiczonego na środku portu, oraz szefem policji Henrim Ladrudem. Na podłodze rozciągał się ogromny orientalny dywan sięgający aż po białe ściany, na których wisiał jeden Klee, jeden Leger i pół tuzina jaskrawych haitańskich

plócien, świadczących o najnowszych gustach i bystrości właścicielki, jako że ich ceny od czasu zakupu przed wybuchem popytu na tutejsze malarstwo zdążyły już poszybować pod niebo. Jeszcze tego samego wieczoru pani Pat zdążyła polubić Adele; obie panie połączyła złość na prawicowych kongresmenów i republikanów, głównie za podjudzanie do obecnych polowań na czerwonych w rządzie, pokrętne skalowanie liberalnych zwolenników New Dealu oraz popieranie senatora McCarthy'ego.

Jeszcze przed wyjazdem Levinów z Nowego Jorku Jimmy P. udzielił im szczegółowych informacji na temat pani Pat. Karierę zawodową rozpoczęła jako pracownik socjalny w Providence na Rhode Island, ale szybko doszła do wniosku, że jej przeważnie katolicki klienci potrzebują przede wszystkim kondomów, które w tym czasie były towarem bądź nielegalnym, bądź sprzedawanym spod lady. Wożąc całe ich kartony z Nowego Jorku, gdzie kupowała je hurtowo, awansowała wkrótce na dystrybutora i w końcu sama otworzyła fabryczkę prezerwatyw, na czym zbiła spory majątek. Podczas wakacji na Haiti zauważyła jeszcze większe zapotrzebowanie na swój produkt, więc wystartowała z kolejną wytwórnią, tym razem przeznaczając lwią część produkcji dla organizacji non profit. Zbliżając się do osiemdziesiątki, przystojna jak zawsze, z długimi srebrnymi włosami i spokojnym, niczym staw spojrzeniem niebieskich oczu pani Pat wiodła żywot, który składał się z prób uświadamiania ludziom istoty rzeczy. Niecierpliwość doprowadziła ją do zmiany wyznania z katolickiego na Christian Science, które interpretowała jako wiarę wyłącznie we własne siły, tłumacząc w ten sposób własną przedsiębiorczość oraz - w większym zakresie - dążenie do socjalistycznego, opiekuńczego społeczeństwa.

Rozciągnięta na szeszlunku przy karcianym stoliku i pogrążona w lekturze „Timesa” sprzed trzech dni jej córka, Lilly, powiedziała:

- Jean Cours widział wczoraj na ulicy Charlesa Lebaye'a.

Poniósłszy klęskę w walce z wagą, Lilly nosiła powiewne białe suknie i negliże. Na jej rękach podzwaniały cynowe bransoletki miejscowego wyrobu. Kątem oka dostrzegła wejście jedenastoletniego Petera, swego dziecka z pierwszego małżeństwa z alkoholikiem, nowojorskim recenzentem teatralnym. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że chłopiec odziedziczył po ojcu koszarne irlandzkie ponuractwo i znakomitą prezencję. W brudnych brunatnych szortach i z bosymi nogami opychał się właśnie czereśniami z miski, nie racząc odpowiedzieć na jej pozdrowienie. Jak przypuszczała, mścił się w ten sposób za to, że pozbawiła go ojca.

Pani Pat ledwie zerknęła znad kart.

- Lebaye'a? Tego komisarza?

- Tak.

- Aj a słyszałam, że on zmarł tydzień temu.

- Bo zmarł. - Przerwano grę. Vincent z Levinem weszli z balkonu, żeby posłuchać, i wszyscy gracze odwrócili się w stronę Lilly. - Cours widział go w trumnie i uczestniczył w pogrzebie.

- Skąd wiedział, że to Lebaye?

- Znał go całe życie. Podobno Lebaye podszedł do niego na ulicy, ale go minął. Zdaniem Coursa zmienił się w zombie.

- Co to jest zombie? - spytała Adele Vincenta, który jako czarnoskóry mieszkaniec Jamajki powinien wiedzieć.

- Rodzaj niewolnika. Ponoć wskrzeszają zmarłych i wywlekają z nich dusze, tak że potem robią co im taki porywacz każe.

- Ale co to jest naprawdę? - Levin stał nad stolikiem niczym wieża, obmacując sobie szyję w poszukiwaniu arterii, żeby zmierzyć puls.

- Nie wiem, może faszerują ofiarę narkotykami i udają że ją grzebią...

- Cours zaklina się, że widział, jak Lebaye'a spuszczano do ziemi.

- Kochanie, on mógł widzieć trumnę - zauważył Vincent.

- Czasem naprawdę dzieją się dziwne rzeczy - wtrącił biskup.

Wszyscy zwrócili się ku niemu, gdyż miał najwięcej doświadczenia z Haitańczykami; kilku z nich nawrócił,

poza tym wspierał nowe malarstwo i literaturę. Bielone wnętrze jego wielkiego kościoła zdobiły świeżo ukończone obrazy. Na różowej, podobnej kształtem do melona twarzy miał przyjemnie niekompetentną minę, ale chronił rewolucjonistów i wpuszczał w maliny ludzi ze strzelbami, którzy ich szukali.

- Nie jestem pewien, czy tu chodzi o narkotyki - ciągnął. - Wiecie, oni mają sposób na dotarcie do istoty rzeczy. To znaczy, jest to raczej rodzaj głębokiej hipnozy, dzięki której dochodzi się do jądra osobowości.

- Ale nie mogliby pogrzebać żywego człowieka - zaprotestował komandor Banz. - Przecież by się udusił! - Czarnowłosa, o nieskazitelnym profilu, w białym mundurze ze stójką, idealnie opinającą szyję, bardziej wyglądał na kapelana wojskowego niż otyły biskup. Ze względów patriotycznych nie zgadzał się z niczym, co pani Pat sądziła na temat amerykańskich imperialnych machlojek, niemniej uważał ją za wspaniałą kobietę, elegancką zagadkę czekającą na rozwiązanie. Zresztą ten dom był jedynym miejscem na wyspie, gdzie czuł się mile widziany.

- Chyba żeby znaleźli jakiś sposób na spowolnienie jego metabolizmu - zasugerował Vincent - ale ja w to nie wierzę.

Szef Ladrun, niski mężczyzna o wadze ponad stu czterdziestu kilogramów, z brzuchem zaczynającym się jakby tuż pod podbródkiem, był jedynym Haitańczykiem w salonie.

- To wszystko bzdury - zaśmiał się z ukontentowaniem. - Jest wielu ludzi podobnych do siebie nawzajem. Voodoo to religia jak każda inna, tylko oczywiście ma w sobie więcej magii. Ale przypomnijcie sobie chleb i ryby dla pięciu tysięcy, chodzenie po wodzie...

Rozmowa zeszła na temat magii, grę podjęto znowu, a Lilly wróciła do swojej gazety. Vincent i Levin ponownie udali się na balkon, gdzie usiedli ramię w ramię, mając przed sobą widok na port. Vincent, jedyny czarny mężczyzna, z którym Levin miał szansę pogadać od czasów, kiedy spędzał popołudnia na grze w koszykówkę w college'u, wywarł na nim duże wrażenie. Levin zdążył się już dowiedzieć, że Vincent, wystartowawszy jako biedny, lecz potężnie zbudowany mieszkaniec Jamajki, zdobył dyplomy Oksfordu i szwedzkiego uniwersytetu, a obecnie stał na czele agencji ONZ do spraw odnowy lasów w rejonie Morza Karaibskiego. Poza tym jawne zainteresowanie Vincenta zarówno nim samym, jak i jego fascynacją Proustem sprawiało Levinowi dużą przyjemność.

- Czy voodoo to coś poważnego? - spytał Levin.

- Cóż, zna pan to powiedzenie: na Haiti jest dziewięćdziesiąt procent katolików i sto procent wyznawców voodoo. Mój osobisty pogląd jest taki, że więcej z tym kłopotów niż z cymkolwiek innym, ale ponieważ każda religia jest w gruncie rzeczy środkiem kontroli społecznej, więc nie można brać zbyt poważnie jej duchowej strony. Ten kraj potrzebuje naukowców i trzeźwo myślących ludzi, a nie magików. Ale przypuszczam, że jak wszystko inne, także i to da się wykorzystać z pożytkiem. Prawdę rzekłszy, sam się tym posługuję. - Miał skłonność do łagodzenia każdej stanowczej wypowiedzi leciutkim uśmiechem.

Ponieważ podstawowym paliwem na Haiti jest węgiel drzewny, Vincent przygotował plan posadzenia kilku tysięcy szybko rosnących drzew. Nie minął rok, jak wszystkie sadzonki zostały wycięte i wywiezione na opał.

- Kiedy już ochłonąłem z oburzenia - opowiadał - wybrałem się pewnego dnia do fryzjera i właśnie on mi poradził, abym zajrzał do miejscowego houngana. Odnalazłem faceta; za okrągłą sumkę zorganizował ceremonię, podczas której ogłosił teren plantacji świętym. Podczas sadzenia zebrał się wielki tłum gapiów i przez następne trzy lata nikt nie tknął świętych drzewek. Dopiero wtedy odbyła się prawidłowa wycinka. Muszę przyznać, że nie podobał mi się ten pomysł, ale okazał się skuteczny. - Umilkł na chwilę, po czym zapytał: - Czemu zainteresował się pan Haiti?

- Wcale nie wiedziałem, że się interesuję, ale jest coś pociągającego w miejscowej atmosferze, może jakaś tajemniczość... Sam nie wiem.

Levin patrzył na czarną twarz rozmówcy w poświacie żółtego światła z salonu. Na tle ciemnych wód portowych i skąpo oświetlonego, zubożonego miasta w dole Vincent raził go swą obcością, do tego pojawił się lęk, jakby pływając w morzu, zobaczył go nagle tuż nad swoją głową. Cenił sobie bezpieczeństwo materialne,

ale bardziej tęsknił do ryzyka artysty niż do marnowania czasu na codzienne utarczki z biznesem. „Skaczę pewnie na jednej nodze, chociaż druga zwisa mi nad przepaścią” - powiedział kiedyś Adele po skończeniu duetu fortepianowego Schuberta - utworu, który wzruszył go niemal do łez.

- Czy pan i pańska żona chcielibyście zobaczyć coś więcej w tym kraju? Muszę jutro pojechać do lasu piniowego. - Vincent patrzył mu w twarz - barczysty mężczyzna po trzydziestce, nieskończenie pewny siebie, całkowicie na luzie w swym czarnym kraju.

Żadny przyjrzenia się z bliska tej dziwnej wyspie, Levin skwapliwie się zgodził. Zaskoczyło go radosne podniecenie, jakie propozycja w nim wzbudziła. Zdążył zapomnieć, że stać go jeszcze na tego rodzaju uczucia. Przemknęła mu przez głowę umiłowana twarz Prousta. Jak zwiędły kwiat, pomyślał.

## **Część II**

Kiedy Adele zobaczyła na podjeździe hotelu Gustafson malutkiego austina, wymówiła się od wycieczki; wolała spędzić dzień na zwiedzaniu miasta, niż kulić się bokiem na tylnym siedzeniu. Właściwie zamierzała powłóczyć się trochę wokół hotelu - jego niezmodyfiko- wany francuskokolonialny styl przypominał jej relikty zamierzchłej przeszłości. Wyobrażała sobie, że przez wysokie okna z cienkimi firan~~ka~~kami mogłaby zobaczyć Josepha Conrada, przechodzącego ulicą lub siedzącego w jednym z przepastnych ratanowych foteli w lobby. Pewnie są tu też jakieś sklepy, do których Mark nigdy nie ma cierpliwości. Pomachała wesoło odjeżdżającemu samochodzikowi.

Kiedy austinjamył, słońce wciąż stało dostatecznie nisko, by objąć swym blaskiem jej rozweseloną twarz pod szerokoskrzydłym kapeluszem z czarnej słomki. Było to łagodne światło, które zdawało się ją unosić i trzymać zawieszoną w przestrzeni. Levin skarcił się w duchu za to, że nie kochał się z nią częściej - ile to już, tydzień? Może więcej. Odezwał mu się w głowie dzwonek alarmowy. Przerzucanie się ironicznymi uwagami czy mądrymi obserwacjami nie było substytutem rogowych potyczek, jakie toczył w biznesie, dlatego postanowił znów poznać lepiej Adele. Po siedmiu latach małżeństwa niemal ztratili ciekawość siebie. Musi przestać się ukrywać i znowu zacząć słuchać.

Vincent przemykał się samochodem przez główne ulice miasta, okrążając słupy telefoniczne z obwisłymi, przerwany drutami. Niektóre z nich sterczały pośrodku ulicy tuż przed węglem albo wręcz na chodnikach niczym wyrwane z kontekstu, spóźnione refleksje. Wysunięte nawisy pięter ocieniały wnętrza otwartych na ulice lokali sklepowych; w większości z nich działały warsztaty, gdzie naprawiano garnki i meble, wyklepivano błotniki samochodów. W ogromnym sklepie na rogu sprzedawano opony, kuchnie, lodówki, mięso, ryby, suknie, bury, naftę, gaz. Przez nieskazitelnie czyste okna banku Levin widział młode kasjerki w odprasowanych białych bluzkach; pracowały z namaszczeniem, piastując niewątpliwie najlepsze posady w tym mieście. Dwóch porządnie ubranych biznesmenów stało z poważnymi minami na chodniku z dłońmi złączonymi w pełnym godności porannym uścisku. Wciąż jeszcze był tu czas na wszystko.

Vincent szarpał kierownicą zakrętach.

- Angielski układ kierowniczy - wyjaśnił ze śmiechem. - Mało luzu, ale precyzyjny. Konstrukcja tego wozu ma na celu kształtowanie charakteru, chyba częściej go pcham, niż prowadzę. Wystarczy plotka o mgłę i już odmawia ruszenia.

Miasto się przeredzało i nagle znaleźli się na zaskakująco dobrej czarnej drodze, wijącej się między skupiskami ruder i małych ogródków. Niemal w każdym pracowały kobiety, podczas gdy mężczyźni siedzieli w pobliżu i gadali z nimi albo z jakimś kumplem.

- Ci faceci nie wydają się szczególnie przepracowani - zauważył Levin.

- Afryka! - skwitował Vincent. - Mężczyzna poluje, a kobieta zajmuje się domem i uprawami. Oczywiście, tu już nie ma na co polować. Niektórzy naprawdę ciężko pracują, ale brak im wykształcenia. To czysta rozpacz. Ten kraj czeka, by zacząć egzystować.

- Co oni eksportują? - spytał Levin. W każdym skupisku domów wisiły ręcznie wypisane ogłoszenia: *Reparations pneu*. - Oprócz napraw?

- Boksyt. To ruda aluminium. Kiedyś było tu złoto. Niewiele, ale to już przeszłość.

Levin zaczął zastanawiać się nas sposobami poprawy sytuacji.

- A co mogliby zrobić z lepszym wykształceniem? Poza emigrację?

- Na początek postarać się o przyzwoity rząd. To byłaby wielka sprawa. - Nuta powagi pogłębiła głos Vincenta; nagle zaprzestał żartów. Levin był zaskoczony. Przypomniały mu się jego dawne, jeszcze z czasów college'u, polityczne spory.

Autko pięło się od pół godziny przez coraz gęściejszy piniowy las i w powietrzu pachniało chłodną świeżością.

- Do kogo to wszystko należy?

- Do państwa. Ale politycy kradną na potęgę.

- Jak?

- Falszując księgi.

- Robi się nowe nasadzenia?

- Nie. To jest to, do czego ja dążę. Cały las jest skazany na zagładę, ale urząd publiczny jest licencjonowaną kradzieżą.

Ciało Levina sprężyło się jak do boju, co natychmiast uznał za absurd - to nie jego las, zresztą co mógł na to poradzić.

Nagle z lasu wyszła samotna kobieta z opierającą się kozą na sznurku. Poruszała się bez najmniejszego wysiłku, ledwie dotykając ziemi, niczym zjawą ze snu. Miała głowę okręconą czerwoną chustą której koniec zwieszał się przez pierś, sprawiając wrażenie rany. Kołysała z wdziękiem tancerki wyciągniętą dla równowagi ręką.

- Wiele z nich jest bardzo urodziwych - zauważył Levin.

- Niestety tak.

Droga wyrównała się i na polanie Levin zobaczył chatę w alpejskim stylu o stromym dachu z głębokim okapem, chociaż nigdy nie widziano tu śniegu.

- Muszę przywitać się z menedżerem - rzekł Vincent, wysiadając z auta i znikając w budynku. Levin także wysiadł i rozprostowywał nogi, chodząc na palcach. Cisza zdawała się muskać mu łagodnie skórę. W tym momencie fakt, że stał w tym akurat miejscu na ziemi, odbierał jako coś w rodzaju cudu. Co on tu robił? W samochodzie Vincent wspomniął o znajomym, z którym miał dziś do pogadania. Podśmiewał się z tego faceta, swego czasu na kierowniczym stanowisku w reklamie przy Madison Avenue, a obecnie żyjącego tu jak rdzenny tubylec. Mówił więcej, ale hałas silnika go zagłuszył. Teraz wynurzył się z chaty, śmiejąc się z czegoś z czarnoskórym mężczyzną, który został w tyle i machał mu na pożegnanie.

- Jeden z pomniejszych kanciarzy - wyjaśnił Vincent, odjeżdżając. W ciągu paru minut znaleźli się zupełnie poza drogą, na polnym trakcie przez las. Drzewa były tu znacznie większe, trudniejsze do wycinki niż te na skraju. Wkrótce podjechali do prymitywnej chaty z bali. Rozbite okno zakryto gazetami, obok stał poobijany dostawczy ford. Na zachwaszczonym polanie poniewierały się metalowe części jakiejś maszyny, razem z łysymi oponami, wielką markizą, ramami okiennymi, zardzewiałą ręczną pompą i opartym o drzewo opuszczonym wychodkiem. Wszystko tu wydawało się zwichrowane. Stopnie ganku skrzybiały. Na sznurze rozciągniętym między dwoma drzewami wisiał samotny stanik. Vincent wyłączył silnik, ale pozostał na swoim miejscu. Jego chichotliwa ironia zniknęła i Levin zauważył w oczach swego towarzysza coś w rodzaju napięcia.

- Kto teraz? Niedokładnie zrozumiałem...

- Douglas. To drażliwa sprawa - wyjaśnił Vincent po raz pierwszy z niezbyt pewną miną. - Nie powinienem pozwalać sobie na to, ale nie sądziłem, że aż do tego dojdzie...

- Zaraz, bo się pogubiłem. O czym pan mówi? - Vincent najwyraźniej zapomniał, że nie wszyscy są wprowadzeni w sytuację.

Odchylił się na oparcie z oczami utkwionymi w dom, tylko czasem rzucając okiem na Levina.

- Lubię tego człowieka, chociaż jest bardzo dziwny. Złote serce, ale... no cóż, pewnie uznałby go pan za głupka. Dwa lata temu rzucił dobrą posadę w BBD&O8 przy Madison Avenue, żeby włączyć się z rodziną po morzu na łodzi z demobilu i wyświetlać filmy mieszkańcom różnych wysp. - Śmiał się teraz, ale napięcie w jego twarzy nie zelżało. - Myślał, że uda mu się żyć ze sprzedawania biletów tubylcom! I oczywiście nie znalazło się dość klientów z ćwierćdolarówką w kieszeni, przynajmniej nie na Karaibach, więc przyjechał tutaj. Pewnie chciał się rozejrzeć za jakimś zajęciem związanym z łodzią. I Bóg jeden wie, skąd ten pomysł mu się wziął, ale musiało się to stać, gdy w pobliżu doku zobaczył ten gigantyczny zbiornik, który przypuszczalnie pochodził z jakiegoś wielkiego wraku i mógł pomieścić kilka tysięcy galonów. I tak sobie po prostu leżał, zupełnie bezużytecznie. A facet kręcił się obok, mieszkając z rodziną na łodzi, i ten złom coraz bardziej nie dawał mu spokoju.

- Bo leżał bezużytecznie.

- No jasne! - Zaśmiał się znowu. - My tu wszyscy wiecznie zbawiamy Haiti. Pan też już zaczyna myśleć tymi kategoriami.

- No, niezupełnie, chociaż potrafię was zrozumieć. Może to przez tych ludzi. Wy dają się tacy...

- Uroczy, tak. I pełni wyobraźni. - Vincent wymówił ostatnie słowo z namaszczonym jamajskim zaśpiewem.

- W każdym razie gość usłyszał o lesie i pewnego dnia wyskoczył z pomysłem, że przy tej ilości sosen można zbierać żywicę na terpentynę i uruchomić proces destylacji.

Terpentyna na Haiti to wielka sprawa - używa się jej niemal do wszystkiego, począwszy od reumatyzmu, a skończywszy na problemach z seksem i płucami. Krótko mówiąc, Douglas miał ten zbiornik i nagle znalazł dla niego fantastyczne zastosowanie. - Parsknął śmiechem, ale nadal w oczach miał niepokój. - Przy okazji uratowałby las i utworzył kilkanaście miejsc pracy. Mnóstwo różnych korzyści, nie wspominając o tych z samej terpentyny. - Umilkł, wciąż nie odrywając oczu od chaty. Wyszły mu wargi i musiał je zwilżać językiem. - Naprawdę tego nie chciałem, ale chyba jakoś bezwiednie go sprowokowałem. Jako jedyny tutaj miałem jakieś naukowe podstawy, chociaż tym, czego naprawdę potrzebował, była rada doświadczonego inżyniera. Przyjaciele z agencji przysłali mu trochę literatury fachowej na temat technologii destylacji, ze mnie wycisnął to, co jeszcze pamiętałem z chemii - i wystartował. Najpierw się dowiedział, że zbiornik musi leżeć pod specjalnym kątem - zapomniałem, jakim dokładnie - ale zdobył trochę sprzętu mierniczego i dotąd się kręcił po okolicy, aż znalazł pochyłość o dokładnie takim stopniu, jakiego potrzebował. Wtedy wynajął dwóch ludzi do podparcia zbiornika poduszkami betonowymi. Oczywiście gruchot był zbyt duży, by go tu dowieźć ciężarówką, więc na swoje nieszczęście znalazłem w porcie spawacza, który pociął zbiornik na kawałki, wpakował je kolejno do pikapa, a potem, już na miejscu, zespawał do pierwotnego kształtu. Wszystko razem wydawało się tak absurdalne, że... - Urwał, a po chwili kontynuował ze śmiertelną powagą: - Chyba czułem się trochę odpowiedzialny, chociaż starałem się wybić mu to z głowy. Mimo to... - Znów przerwał, zmieszany. - Sam nie wiem, może go i zachęciłem, w tym sensie, że cieszyłem się, iż ktoś tak entuzjastycznie traktuje możliwości tego kraju. Ale powinienem bardziej na serio podejść do kwestii zagrożenia.

- Jak długo on już w tym tkwi?

- Co najmniej osiem miesięcy, może rok. To szaleństwo, między tym miejscem a portem nie ma dosłownie nic, więc jeśli zabraknie jakiegoś drobiazgu, dajmy na to gwoźdźca, trzeba ganiać na górę - tam i z powrotem.

- Ale co pana tak niepokoi? To wszystko wydaje się dość nieszkodliwe.

- Jest gotów do rozpalenia ognia.

-I?

- Ten zbiornik wypełnią opary. Facet założył na górze jakiś rodzaj wen tyłu bezpieczeństwa, ale do licha, nie

wiadomo, czy jest odpowiedni, to po prostu jakiś cholerny rupieć znaleziony w porcie. Wentyle takie jak ten włączają się przy różnych wartościach ciśnienia, a ja nic na ten temat nie wiem, podobnie jak ów gość. - Wyrwał mu się nerwowy, piskliwy śmiech. - Ciśnienie pary może wynieść około stu siedemdziesięciu funtów na cal kwadratowy, a cały jego sprzęt jest z drugiej ręki albo zaimprovizowany. To bardzo wysokie ciśnienie jak na powtórnie pospawany zbiornik - j eden spaw na drugim - przy którym się majstrowało. Bóg jeden wie, czy nie wysadzi w powietrze całej góry albo nie spowoduje pożaru lasu i sam w nim nie zginie na dodatek!

- A kiedy to ma się stać?

- Dziś.

- To niech mu pan wykradnie zapalki i wynośmy się stąd do diabła! - Obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

- Co pan zamierza zrobić?

- Cóż, na pewno spróbuję mu to wyperswadować. Musi zasięgnąć rady u jakiegoś profesjonalisty inżyniera.

- Myślałby kto, że zrobił to dawno temu.

Nagle kątem oka Levin zobaczył w oknie twarz, która znikła, gdy tylko obrócił się w jej stronę. Zdawało mu się, że należała do dziecka.

- To Catty - wyjaśnił Vincent, wysuwając się zza kierownicy. Kiedy szli w stronę chaty, mówił dalej: - Jest jeszcze Bichard, ma około siedmiu lat, a ona dziewięć. - Aha, mam prośbę. Zatrzymał się i obrócił twarzą do Levina. - Proszę zapytać, gdzie dzieci chodzą do szkoły. Bo nie sądzę, aby w ogóle się uczyły, po prostu biegają luzem razem z miejscowymi. On mnie nie będzie słuchał, uważa mnie za jednego z tych przesadnie konwencji onalnych czarnuchów. Zrobi pan to?

Na wąskim ganku pojawiła się kobieta z ramieniem na białym temblaku.

- Vincent! Jak miło! - Zeszła ostrożnie ze złamanego schodka i ruszyła do nich przez chwasty, wyciągając zdrową rękę gestem gospodyni eleganckiego lunchu.

Denise była niska i żywa, miała dobrze po czterdziestce. W jej niespokojnych oczach błyszczało dzikie roztargnienie, jasne włosy były poskręcane i skołtunione, pewnie dlatego, jak pomyślał Levin, że nie mogła ich umyć jedną ręką. Mimo nieodłącznego uśmiechu niewidzialny napis „Ratunku!” unosił się nad jej głową niczym zapalony sygnał.

- Co się stało? - zapytał Vincent, wskazując na temblak.

- Och, Vincent! - chwyciła go za ramię, szukając nie tylko fizycznego wsparcia. Po jej twarzy błąkał się nikły uśmiech. - Rozładowywałam jedną z tych pięćdziesięciopięciogalonowych bek; ześlizgnęła się i mnie uderzyła. Już się goi, ale z początku było paskudnie, ciężarówka nie chciała ruszyć, dzieci gdzieś się zapodziały, a Douglas zajmował się zbiornikami. Musiałam iść pieszo, przytrzymując to razem...

Vincent - Levin to widział - był wyraźnie jej zbawcą, jedyną nadzieją na ucieczkę od tego - wszystko jedno czego - co zmuszało kobietę z ewidentnie wyższej sfery do zmagania się z ogromnymi bekami. Chyba wydawało się jej, że śni, póki nie pękła jej kość.

- Proszę, proszę do środka, on się na pewno ucieszy... - Levin dopiero teraz został jej przedstawiony, ale ledwie rzuciła na niego okiem, całą uwagę skupiając na Vincencie.

W pokoju, do którego weszli, wisiał wilgotny smród. Przy jednej ścianie znajdował się ogromny kominek z dużych, okrągłych kamieni, nad nim stało na półce kilka sfatygowanych książek. Nie było krzesel ani stołu, tylko parę porzucanych skrzynek, na jednej z nich leżały niezmyte naczynia po ostatnim posiłku. Pod ścianą stała zakurzona, ozdobiona filigranem fisharmonia. Spocony mężczyzna w roboczych długich butach, podartych dzinsach i podkoszulku oraz w poplamionej olejem czapeczce Jankeśów, siedząc na skrzynce, studiował z wysuniętym koniuszkiem języka rozłożone na kolanach rysunki techniczne, które walały się też po podłodze. W małych, drucianych okularkach jedno szkło miał pęknięte, a skroniowa część oprawki zastąpiona była sznurkiem okręconym wokół ucha. Po kilkudniowej, miejscami - jakby w roztargnieniu - ogolonej brodzie zostały mu siwe kępki. W pokoju mimo słonecznego dnia panował mrok; wysoko osadzone okna pod szerokim okapem dachu wpuszczały raczej cień niż światło.

- Kochanie, Vincent przyjechał - wykrzyknęła głośno kobieta.

Wyjście ze stanu głębokiej koncentracji zabrało Douglasowi dobre pół minuty. Zerwał się z miejsca i rzucił Vincentowi na szyję, wciąż ściskając w rękę rysunek. Potem szybko uściśnął Levinowi dłoń szorstkając papier ścierny ręką. Był wysoki i uprzejmie pochylony; już po pierwszych słowach Levin rozpoznał klasę absolwenta Ivy League.

- Gdzie się spodziewałaś, skurczybyku, czekam na ciebie od tygodnia!

- Za parawanem przemknęły chyłkiem dzieci - dwoje białych i jedno czarne - ale zaraz zniknęły niczym płochliwe leśne zwierzęta.

- Może herbaty przed wyjściem? - spytał Douglas gościa, wciąż obejmując go przyjacielskim gestem, przed którym Vincent zdawał się wzdragać. - Chyba wszyscy się napijemy, prawda, kochanie? - Rozejrzał się za żoną, a nie widząc jej nigdzie, zawołał w głąb domu: - Jest herbata, kochanie?

Ponieważ nie było odpowiedzi, Vincent zaproponował:

- Może najpierw usiądziemy na chwilę?

- Ależ oczywiście, przepraszam! - Douglas podskoczył i przyciągnął drugą skrzynkę. Poruszał się, kiwając na boki jak niedźwiedź.

W tym momencie Vincent, widząc, że Douglas jakby nie dostrzega obecności Levina, przedstawił go po raz drugi. Gospodarz obrócił się do niego z taką miną, jakby Levin spadł właśnie z sufitu.

- Tak, tak! Miło mi pana poznać. Przepraszam za te warunki... - Zachichotał i zwrócił się znów do siedzącego naprzeciwko Vincenta. Tymczasem wróciła żona i usadowiła się na skrzynce, osłaniając gips zdrową ręką. Udało się jej rozczesać włosy i przebrać w czyste dżinsy i brzoskwińową bluzkę, podkreślającą zarys biustu; wysiłek, jaki podjęła, żeby się odświeżyć, wzruszył Levina. Wyczuł w niej dużą nerwowość, kulminację jakiejś walki, która determinowała ją do przeciągnięcia Vincenta na swoją stronę.

Douglas jednak wydawał się obojętny.

- Byłem gotów do startu już w poprzedni weekend. - Mimo uśmiechu w jego głosie dźwięczał ton wyrzutu. - Co się stało? Gdzie się podziewałeś?

Vincent zbierał się w sobie przez chwilę.

- Byłem zajęty. Ale naprawdę, Doug, muszę ci przypomnieć, że wcale się nie zdecydowałem na... To znaczy, nie sądzę, aby stać mnie było na taką odpowiedzialność...

- Oczywiście, nigdy tego nie oczekiwałem. Ale myślę, że rozbudziłem twoją ciekawość.

- Owszem, ale bądźmy szczerzy, Doug. W gruncie rzeczy nigdy nie wierzyłem w ten cały proces, w każdym razie na tyle, na ile potrafię go zrozumieć. Jak ci mówiłem poprzednim razem, popytałem tu i tam o tutejczy gatunek drzew...

- Jestem tego świadom - przerwał mu Douglas.

- *Pinus silvestris* jest odpowiednim rodzajem...

- Najlepszym. Ale i w tych tutaj jest mnóstwo żywicy.

- Doug, muszę cię prosić, abys mnie wysłuchał. - Vincent podniósł głos i po raz pierwszy Levin usłyszał w nim twardy ton. Douglas umilkł, ale z widocznym wysiłkiem. - Oni zdecydowanie wymagają, aby temperatura czynnej pary w kotle wynosiła około stu stopni Celsjusza...

- Osiemdziesiąt pięć do stu.

- Widocznie to zależy od jakości żywicy, a ta tutejsza jest marna. Chodzi mi o to, Doug, że masz przespawane na nowo zbiorniki, a ja zauważyłem rdzę...

- Jest tylko na powierzchni.

- Skąd ta pewność? Ciśnienie może dojść do 150 psi, a temperatura do 170 stopni. Ja tylko próbuję cię uświadomić...

- Rzecz jest idealnie bezpieczna! - Douglas wstał. - Gdzie zdobyłeś te informacje?

- Rozmawiałem z komandorem Banzem.

- Z tamtego okrętu? Co on może wiedzieć o terpentynie?

- Pochodzi z Alabamy. Tam się jej sporo produkuje i jego rodzina ma powiązania...

- Boże! - Douglas podniósł wzrok ku głuchemu niebu. - Facet z marynarki wymądrza się na temat terpentyny! - Chodził w kółko, trzaskając czapką o udo jak chłopiec, któremu pokrzyżowano plany. - Byłem dowódcą wiesz przecież o tym. Szesnaście miesięcy na pieprzonym niszczycielu, takiej puszczy z blachy, i oznajmiam ci, że faceci z marynarki gównem wiedzą o terpentynie. On ma na myśli te ich cholerne kotły parowe, a to całkiem inna historia.

Levin z trudem utrzymał poważny wyraz twarzy. Ale tak czy inaczej z udręki Douglasa była pewna autentyczność, prawdziwy zew rozpaczy, z jakim dotąd nigdy się nie spotkał, przynajmniej nie u kulturalnego człowieka. Ani on sam, ani nikt z jego znajomych nie przejmował się czymś tak mocno i w tak jawny sposób. I wszystko to z powodu terpentyny? Levin wątpił, czy w ogóle stały za tym pieniądze - terpentyna była na to zbyt tania... Więc co?

- Kochanie, naprawdę powinieneś przynajmniej wysłuchać Vincenta - odezwała się Denise.

-No więc, czy masz coś do zaproponowania? - spytał Douglas.

Vincent wahał się przez chwilę.

- Mogę tylko wyrazić swój wielki podziw dla do twoich tutejszych osiągnięć...

- Na miłość boską, Vince, zyskalibyście miejsca pracy, nareszcie by cię szanowano, ludzie by pracowali, ustałoby to złodziejstwo. Przecież ten kraj umiera!

Ból w jego oczach przejmował odrazą Levina, który przeklinał się w duchu za nieczułość. Gdzieś na obrzeżach umysłu kiełkowało mu coś w rodzaju niesmaku, chociaż nieskierowanego do konkretnej osoby. W końcu obaj mężczyźni wraz z Denise zgodzili się pojechać do destylatoru i wszystko sprawdzić na miejscu. Levin nie mógł uwierzyć, że mimo całej niepewności Douglas wyraźnie zamierzał uruchomić proces.

Vincent z Levinem wsiedli do austina, Douglas i Denise ruszyli za nimi pikapem. Humor Vincenta objawiał się w gwałtownym przyśpieszaniu i hamowaniu.

Wie pan, to naprawdę nie mój interes - tłumaczył się z jakiegoś powodu Levinowi, który sam czuł coś w rodzaju odpowiedzialności, ale dlaczego i za co, nie umiałby sobie wyjaśnić. - Poskładał do kupy mnóstwo złomu. Bo to złom! Na pewno nic zamierzam kręcić się w pobliżu, gdy to podpali!

-A co z dziećmi?

-Nie wiem. Po prostu nie wiem.

Levin widział na drzewach stalowe pojemniki; Vincent wyznał mu, że spływa do nich żywica z nacięć w warstwie kambium. Powietrze było niemal chłodne - jak na północy Europy, co wydawało się dziwne, gdyż zaledwie kilka kilometrów dzieliło ich od ciepłego morza.

- Oczywiście, że to nie ten gatunek sosny. Ale proszę mnie nie pytać dlaczego. Nie ja robiłem ekspertyzę.

- Co właściwie go opętało? Próżność? To znaczy, chyba nie spodziewał się zbić na tym majątku, co?

- Może gdyby dysponował pewną liczbą destylatorów, ale on ma tylko ten jeden. I raczej nie chodzi tu o próżność. On naprawdę kocha ten kraj, chociaż Denise ma go po dziurki w nosie.

- Zapomniałem go zapytać o szkołę dzieci.

- Nieważne. I tak wiem, co by odpowiedział: pokazałby ci tę półkę z książkami nad kominkiem. Historia powszechna z 1935 roku czy coś koło tego, podręcznik do chemii z 1910, zbiór opowiadań Kiplinga i jeszcze coś, nie pamiętam... aha, atlas świata. Z Indiami jako kolonią Wielkiej Brytanii.

-A ona? Obchodzija?

- Widziałeś jego upór. - Vincent umilkł na chwilę. - On jest zakochany.

-W kim?

- Nie wiem, jak to ująć. Może: w idei. - Szukał odpowiedniego słowa, wreszcie dał za wygraną. - Rozumiesz, on w czasie wojny polował w tym rejonie na niemieckie łodzie podwodne i się zakochał. W słońcu i tym cudownym morzu. To było jeszcze przed masowym napływem turystów i w ogóle całą tą techniczną cywilizacją. W porcie czekały konne powozy, plaże nietknięte jak dziewice - tak mi opowiadał. Panowała straszna nędza, ale nie zepsucie. No więc wymyślił, że się tu przeprowadzi i będzie na tej łodzi wyświetlał filmy. Czasem się zastanawiałem, czy to rzeczywiście takie proste - pewnie chciał od czegoś zacząć. Wszyscy mamy tego rodzaju

ciągoty, ale dla niektórych jest to absolutna konieczność. Być zaczynem czegoś, odkrywcą, inicjatorem. Mówię tak, bo Douglas był już znakomicie ustawiony w Nowym Jorku, miał dom w Greenwich i tak dalej. Ale niczego nie zapoczątkował. Na swój sposób szukał okazji do walki. - Zaśmiał się i potrząsnął głową. - A to jest właśnie odpowiednie miejsce.

- Chciał czynić dobro, myśli pan?

- O tak, pragnął tego, ale doszedłem do wniosku, że nie to było dla niego głównym celem.

- Odkryć coś samemu? Stworzyć?

- Tak sądzę.

Levin patrzył na gruntową drogę przed sobą pełną dziur i kamieni. Sam nie miał dzieci i teraz cieszył się wręcz ze swej niskiej liczby plemników. Nie nadawał się na ojca, z pewnością nie teraz, u progu czterdziestki. Po pierwsze mógł poświęcić dowolną ilość czasu fortepianowi, podobnie jak Adele. Nie ma czego żałować. Zresztą czy ona by się zgodziła? Podskakując na wybojach w małym samochodziku z kolanami pod tablicą rozdzielczą, zastanawiał się, czy Adele naprawdę była taka zadowolona z braku dzieci, jak to okazywała. Myślał o przykrych aluzjach, gestach, o łzie, którą raz zauważył w jej oku, kiedy zajrzała do kołyski synka przyjaciół. Aż jęknął w duchu na te wspomnienia. Co on robi na Haiti, w tym absurdalnym miejscu, gdzie nic nie rozumie? Poczul się odarty z czegoś, opuszczony i nagle zaczął się zastanawiać, czy Adele go kocha, a nawet, czyjej szybka decyzja pozostania dziś w mieście nie miała jakiegoś ukrytego celu. Śmieszne - przecież żona nigdy by go nie zdradziła, a jednak... I nagle myśl, która tylko mu zaświtała, rozwinęła się niczym kwiat: Adele czekała do ostatniej chwili, kiedy już nie mógł odwołać wyjazdu, po to, aby swobodnie poruszać się po tym obcym mieście. Samotna biała kobieta...

Ujechali szosą niecały kilometr, kiedy Vincent znów skręcił w polną ścieżkę i nagle znaleźli się na polanie. Czarny zbiornik leżał pod kątem przy górskim zboczu niczym odpoczywający potwór, połączony płataniną rur z kilkoma mniejszymi pojemnikami umieszczonymi na różnych wysokościach. Obok wznosił się ogromny, dwukrotnie przewyższający człowieka stos polan sosnowych, stały różne beczki, betoniarka, stalowe cylindry. Były też śpiące psy i kilku ludzi, którzy kręcili się przy wodzie pitnej, śmiejąc się i gapiąc w przestrzeń.

Gdy Levin wysiadał z samochodu, zbliżyła się do niego Denise. Vincent podszedł do zbiorników z Douglasem, który mu coś tłumaczył. Denise odezwała się konspiracyjnym szeptem:

- Wie pan, mamy fisharmonię.

- Tak, zauważyłem.

- Może by pan nam zagrał?

- Och. No... - Skąd wiedziała, że on gra? Pytania pozostawione bez odpowiedzi go wykańczały. Chyba nawet Vincentowi nie wspominał, że on i Adela grają... Nagle głos Vincenta zwrócił jego uwagę na zbiorniki.

Będziesz ty wreszcie mnie słuchał? - ryknął na Douglasa, który dosłownie wychodził ze skóry, by mu przerwać, wykręcał głowę ku niebu i tupał nogą. - Wiem, ile to dla ciebie znaczy, ale to wszystko jest pomyłką, nie możesz uruchomić tego urządzenia bez profesjonalnej inspekcji.

- Ale ty...

- Nie! - zaprotestował Vincent z błagalną nutą w głosie. - Nie jestem kompetentny. Mówiłem ci sto razy, nie wezmę odpowiedzialności...

- Ale ciśnienie niej est...

- Nie wiem tego i ty nie wiesz także! Proszę, żebyś się wstrzymał, na miłość boską, dopóki nie znajdziesz kogoś, kto...

- Nie mogę czekać - odrzekł cicho Douglas.

Zawsze później dziwiło Levina, że w momencie, gdy Douglas przestał wrzeszczeć i się uciszył, umilkła też wyjąca w oddali piła łańcuchowa. Jakby cały świat chciał usłyszeć, co ma do powiedzenia.

- Czemu nie możesz? - Ciekawość wzięła górę nad gniewem Vincenta.

-Jestem chory.

-Jak to?

-Mam raka.

Vincent odruchowo chwycił go za nadgarstek. Robotnicy, którzy znajdowali się akurat poza zasięgiem głosu, stali, czekając na rozkazy Douglasa.

-Muszę zobaczyć to w ruchu, zanim umrę.

-Tak - zgodził się Vincent.

Denise już wcześniej podeszła do męża i teraz ścisnęła go za ramię. Levin widział, jacy byli zakochani - ona tak nieprzystająca do takiego życia, poświęcająca nawet edukację dzieci, żeby tylko Douglas mógł wprowadzić w życie swoją fantazję.

-Dziś po południu wracam do portu - oświadczył Vincent. - Pozwól, że zadzwonię do paru osób. Na pewno kogoś złapię, jeśli będzie trzeba, z naszego biura w Miami. Muszą znaleźć się ludzie, którzy będą wiedzieli, kogo powinniśmy ściągnąć, kto mógłby nam zrobić specjalistyczną ekspertyzę. - To „nam” zdawało się zmiękczać sztywną, defensywną postawę Douglasa; nareszcie tkwili w tym razem, nareszcie nadając przedsięwzięciu moc prawną, czynili je realnym. Douglas chwycił Vincenta za szyję i przyciągnął go blisko, Denise ucałowała go w policzek. Ulga na twarzy Vincenta zdumiała Levina; on też się ucieszył, że między przyjaciółmi nie doszło do jakiejś strasznej awantury, ale w przeciwieństwie do Vincenta nie przekonał go ów wybuch nadziei po obu stronach. W końcu nie rozwiązywało to ani problemu zbiorników, ani procesu. Nie dało się rozproszyć atmosfery fatum wiszącej nad projektem. Tak naprawdę nic się nie wydarzyło poza tym, że teraz całą trójkę łączyła jakaś pasja i wzajemnego pojednania.

Po powrocie do bungalowu Douglas i Denise stali, machając na pożegnanie Vincentowi, który wycofywał samochód na ścieżkę. Levinowi wydali się uderzająco szczęśliwi i spokojni, chociaż jeszcze dwie godziny wcześniej nad całym tym miejscem przelatywały iskry. Samochód omijał głązy i wyboje. Levin zastanawiał się, co takiego umknęło jego uwagi, co tłumaczyłoby te zmiany, zwłaszcza w Vincencie. To, co mu przychodziło do głowy, było oczywiste - obiecując załatwienie zagranicznej ekspertyzy, Vincent w końcu, chociaż nieświadomie, przyjął jeśli nie odpowiedzialność za projekt, to jakiś w nim udział. I przynajmniej w tym zakresie identyfikował się z marzeniem Douglasa.

-I co? Zadzwoni pan do Miami? - spytał Levin, nie potrafiąc ukryć ironicznej nuty w swoim głosie.

Vincent obrzucił go przelotnym spojrzeniem. Poczł się niemal urażony tym tonem.

- Oczywiście. Czemu pan pyta?

- Po prostu... - Levin urwał. Cała ta sprawa wywołała taki mętlik w jego głowie, że sam nie wiedział, jak złapać wątek. - Przez chwilę sprawiał pan wrażenie, jakby wierzył w ten proces, a mnie się przedtem zdawało, że jest wręcz przeciwnie.

- Nie sędzę, bym powiedział, że nie wierzę, ale nadal nie wiem, czy tak jest. Po prostu ucieszyłem się, że zgodził się odłożyć rozruch.

-Aha.

Zapadło milczenie. Innymi słowy, rozumował Levin, Vincent dla świętego spokoju udawał, że wierzy w realność procesu, Douglas zaś także udawał, że ktoś dzieli z nim odpowiedzialność za ewentualną katastrofę. Obaj snuli fantazje na temat wspólnego przekonania. Levin poczuł, że wzbiera w nim przyjemne poczucie klarowności i jego umysł nieuchronnie poszybował w stronę Prousta. Teraz jednak patrzył na wielkiego pisarza inaczej; Proust także był symulantem. Udawał drobiazgową dokładność w opisywaniu miast, ulic, zapachów, ludzi, ale mimo to opisywał wyłącznie swoje fantazje.

Spędzili na górze więcej czasu, niż Levin przewidywał. Zjedli na poboczu późny lunch w postaci kanapek i zanim dotarli do dolnej krawędzi lasu, zrobiło się ciemno. Levin zmienił Vincenta za kierownicą i gawędząc z nim, wysilał wzrok, żeby wypatrzeć krętą, stromą drogę. Reflektory coraz słabiej przebijały się przez ciemność,

aż w końcu zgasły, podobnie jak silnik. Zjechał na wolnym biegu na pobocze i kopnął starter w podłodze, ale bez rezultatu.

-Akumulator wysiadł - oznajmił.

Vincent znalazł w schowku latarkę, po czym obaj wyszli z wozu i podnieśli maskę. Levin poruszał kablem akumulatora i próbował uruchomić silnik, ale daremnie. Obaj mężczyźni stali cicho w totalnych ciemnościach.

-Co teraz? - spytał Levin. - Sątujacys ludzie?

-Cały czas nas obserwują.

-Skąd? - Levin rozejrzył się po poboczach.

-Są wszędzie.

-Dlaczego?

-Czekają na rozwój wypadków. - Vincent roześmiał się z uznaniem.

-Chce pan powiedzieć, że siedzą tu gdzieś po ciemku?

-Tak j est. - Vincent usiadł na zderzaku i wychylił się do przodu.

Levin nastawił uszu w stronę ciemnych poboczy.

-Nikogo nie słyszę.

-I nie usłyszysz pan - zachichotał Vincent.

-A co by pan powiedział o ich nastawieniu?

- Są ciekawi.

Levin przysiadł obok Vincenta. Słyszał oddech swego towarzysza, ale przy braku jakiegokolwiek poświaty ledwie rozróżniał zarys jego głowy. Nawet na niebie nic się nie świeciło. Czy rzeczywiście jacyś ludzie siedzą w krzakach i patrzą? Co sobie myślą? Czy chcą nas obrabować? A może obserwują nas ze swej ukrytej widowni jak dwóch aktorów na scenie, traktując to jako rozrywkę?

-A może zjedziemy na dół na luzie? Może znajdziemy jakąś wioskę. Co pan sądzi?

-Ciii...

Levin zamienił się w słuch i wkrótce zarejestrował daleki odgłos motoru. Obaj mężczyźni wstali i patrzyli w stronę dźwięku, czyli ku górze, z której dopiero co zjechali. W oddali zobaczyli poruszające się reflektory i wkrótce z mroku wyłoniła się ciężarówka z otwartą skrzynią pełną stojących ludzi. Mężczyźni zatrzymali ją gestem i Vincent wyjaśnił kierowcy po kreolsku, co się stało. Szofer zeskoczył na ziemię. Był młody, schludny i zaskakująco dobrze mówił po angielsku.

- Być może mamy tu coś użytecznego - rzekł, obchodząc ciężarówkę. Opuścił klapę i kazał pasażerom wysiąść. Wysypali się na ziemię bez słowa protestu. Wyglądali na zaciekawionych. Kierowca wszedł na skrzynię i zaczął szarpać się z brezentem zakrywającym jakąś stertę rupieci, cały czas trąkając po angielsku, bez wątplenia po to, żeby zrobić wrażenie na *les blancs*. - Chyba jest tu coś możliwe, tak... O! - Pasażerowie wybuchnęli triumfalnym śmiechem wraz z nim, kiedy zeskoczył na drogę i wręczył Levinowi akumulator samochodowy. Potem spieszenie wrócił do kabiny, wyciągnął spod siedzenia kilka kluczy, podszedł do auta, odłączył stary akumulator i wrzucił na jego miejsce nowy, mocując kable. Levin wsunął się za kierownicę i przekręcił kluczyk. Kiedy silnik ożył i reflektory rozbłysły światłem, wysiadł ze śmiechem, przyłączając się do zachwyconego Vincenta i obcego kierowcy.

- Proszę nam pozwolić zapłacić - zwrócił się do wybawcy. - *S'il vous plait, permettez...* - wyciągnął portfel w jasnych promieniach światła austina.

- Nie, nie - protestował szofer, podnosząc dłoń. Potem przemówił po kreolsku do Vincenta, który przetłumaczył Levinowi.

- On mówi, żebyśmy po prostu oddali mu ten akumulator za kilka dni.
- A adres? - spytał Levin, widząc, że szofer wsiada już do swojej kabiny.
- Mamy dostarczyć go na jeden z pirsów i zapytać o Josepha. Podobno wszyscy go tam znaj ą.
- Ale który to pirs?
- Nie mam pojęcia - odparł Vincent, kiedy siedząc już w środku, zaczęli zjeżdżać z góry.

Levin prowadził samochód, próbując przejść do porządku nad ich wybawieniem, a co więcej, nad ufną wspaniałomyślnością szofera. A poza tym nad jeszcze bardziej niezrozumiałym brakiem zaskoczenia u pasażerów ciężarówki. Czy to jeszcze jedna scena z toczącej się ciągle fantazji z ich życia - nagle pojawienie się na ciemnej drodze tych *blancs*, ten akumulator spod brezentu? I jak to się stało, że w sam raz pasował do austina? I był naładowany

- Jak pan myśli, co oni z tego zrozumieli? - spytał Vincenta.
- Z tego wydarzenia na drodze?
- Tak. My się tam nagle zjawiamy, on ma akumulator... i w ogóle.

Vincent zachichotał.

- Bóg raczy wiedzieć. Pewnie to było nieuniknione. Jak wszystko inne.
- Nie powinni uznać za dziwne, że on nawet nie chciał pieniędzy? I zaufał nam, że oddamy akumulator?
- Wątpię, czy ich to zdziwiło. Bo na swój sposób wszystko przecież jest dziwne. To po prostu jedna z takich rzeczy, jak sądzę. Większości z tego, co przeżyli, nie da się łatwo wyjaśnić, to wszystko jest jednym wielkim strumieniem... czegoś tam. Może czasu? - Umilkł i tylko wskazywał Levinowi, w którą ulicę ma skręcić. Miasto już spało, pogrążone w ciemnościach, z wyjątkiem jednego sklepiku - otwartego na ulicę stoiska, gdzie ludzie s ączyli napoje pod pomarańczowym światłem, dzieci bawiły się na granicy mroku, a uwiązany osioł rozgrzebywał stertę śmieci.

### Część III

Minęło trzydzieści lat. Ścisłe rzecz biorąc - a tak właśnie Mark Levin podchodził do kwestii czasu - trzydzieści trzy. Upływające godziny i tygodnie nazywał „ostatnimi pozycjami inwentarza”. Zaczynał wpadać w obsesję na punkcie czasu i zdawał sobie sprawę, że tak być nie powinno. Był teraz po siedemdziesiątce i właśnie wkładał cebulki tulipanów do dołków, które uprzednio przygotował w ogródku obok frontowych drzwi domu. Dawno temu Adele pilnowała, żeby robił to każdej jesieni, ale tym razem zastanawiał się, czy zdąży zobaczyć kwiaty. Każda czynność, jak w jakichś snach, zabierała mu nieskończenie dużo czasu. Słysz ąc szmer fal w pobliżu, czuł jakąś nieokreślon ą wdzięczność do oceanu za to, że tam jest. Opróżniwszy siatkę, przysypał cebulki i udeptał rzadką, piaszczyst ą ziemię, zaniósł narzędzie do garażu i przez suterene ą wszedł po schodach do kuchni. Na stole leżał dziewiczy „Times” z nieaktualnymi wiadomościami; Mark zastanawiał się, ile ton „Timesa” przeczytał w życiu i czy to naprawdę miało jakieś znaczenie. W pobliskich miastach widział parę dobrych filmów, telewizja go nie interesowała. Fortepian, którego nie tykał od ponad dwóch miesięcy, trwał w czarnym milczeniu niczym wyrzut sumienia. Na piaszczystej ulicy szybko zapadał mrok. Co począć z wieczorem i noc ą, jeśli nie liczyć konfrontacji z litośc ią nad sobą i obrony przed nią?

Od śmierci Adele przed sześciu laty coraz rzadziej siadał do instrumentu, stopniowo dochodząc do wniosku, że przedtem grał - przynajmniej w pewnym stopniu - dla jej aprobaty, więc teraz jakby stracił cel. W każdym razie pogodził się ostatecznie z myśl ą, że nigdy nie osiągnie poziomu, o którym kiedyś marzył, a już na pewno nie w samotności. Siedział teraz przy kuchennym blacie, w swym zdrowym ciele nie czuł żadnego bólu, ale wyćwiczone oko wewnętrzne nadzorowało bicie serca i pozycję żołądka. Pytanie, na które musiał sobie odpowiedzieć, brzmiało: czy i po co wstać i dokąd się przenieść. Do salonu, sypialni własnej czy gościnnej? A może przejść się pust ą ulic ą? Był wolnym człowiekiem, ale wolność bez. obowiązków, jak się okazało, to coś zupełnie innego. W stanie takiego letargu jego myśli przebiegały zwykle poprzez szeregi zmarłych, nieliczne grono przyjaciół, z których ostatniego niedawno pochował. Zastanawiał się potem z pewnym odcieniem dumy,

dlaczego został tak wyróżniony. Ale na żadne z zasadniczych pytań nie otrzymał odpowiedzi.

Zadzwoń do Marie? Odbyć quasi-erotyczną rozmowę z tą drogą osobą? Przecież od samego wystukania jej numeru nic się między nimi nie zmieni, nadal pozostanie wyłącznie jej przyjacielem, więcej niż dwa razy od niej starszym. Jakie to głupie, jakie wstrętne być przyjacielem osoby, którą się kocha! „Ale gdybym zgodziła się kochać z tobą odgrodziłabym się murem od kogoś innego” - tak mu powiedziała, mając na myśli kogoś z jej pokolenia. Znowu ten czas! Egoistyczny skurwiol, który tkwił w Marka wnętrzu, długo skowyczał, zanim ostatecznie ucichł. Lepiej nie dzwonić do niej, tylko wypuścić się w jakimś obiecującym kierunku. Dopóki nie padnie na kolana, będzie wolnym człowiekiem.

I tak jego myśl, niczym krążący ptak, nieuchronnie wylądowała na Adele, powracając stale i wciąż do owego zatartego, lecz nadal olśniewającego widoku z austina: stała przed hotelem Gustafson w swym szerokoskrzydłym kapeluszu z czarnej słomki, a niskie poranne słońce utrzymywało ją jakby zawieszoną w żółtawym świetle, utrwaloną w nim, jak się okazało, na zawsze. Jak pięknie wtedy wyglądała! Jak bardzo pragnął okazać jej więcej miłości! Ale może okazał, kto wie? Wstał, włożył lekką kurtkę, która wisiała przy frontowych drzwiach, i wyszedł na ulicę, gdzie dopadł gojesienny ziąb.

Słońce zaraz zajdzie. Szedł ulicą, krótszymi niż w przeszłości krokami, do plaży, gdzie przystanął, by obserwować ześlizgujące się za horyzont słońce. Opadł sztywno na zimny piasek. Miękkie fale ustępowały czasem miejsca przypadkowym bałwanom. Teraz, pod koniec września, plaża była pusta, podobnie jak domy za jego plecami. Przypomniał mu się Douglas w tamtym sosnowym lesie. Pewnie już nie żyje, tak jak i biedny Vincent. Ten ostatni zmarł mniej więcej rok po ich poznaniu, wskutek zastrzyku, który zaaplikował mu przez pomyłkę miejscowy lekarz.

Ciekawe, czy ktoś poza nim pamięta jeszcze Vincenta? I jak to możliwe, że minęły trzydzieści trzy lata, skoro w jego umyśle te wydarzenia wciąż są takie świeże? Teraz, patrząc na fale, Levin przypomniał sobie, że Jimmy R, także już nieżyjący, wspominał coś na temat owego destylatora terpentyny: podobno nigdy nie został uruchomiony. Ze strachu, zastanawiał się Levin, czy z powodu jakichś biznesowych kalkulacji? A może Jimmy coś pokręcił? Ale na zasadnicze pytania nigdy nie ma odpowiedzi.

Nie cierpiał samotności - była jak cuchnąca szafa, mokry ręcznik, za luźne buty. Więc czemu nie oświadczyć się dziewczynie, nie uczynić jej swoją dziedziczką? Ona jednak nie przywiązywała wagi do pieniędzy, on zaś miał tak mało życia do zaoferowania. Ten niekończący się sznurek dni, który zagrażał mu dalszą pustką, był nie do zniesienia. A gdyby tak wybrać się na Haiti? Zobaczyć na własne oczy, co z tego wszystkiego wynikło? Myśl, jakby się wydawało, absurdalna, ożywiła go, usuwając zmęczenie. Ale z kim mógłby się tam spotkać? Pani Pat na pewno już nie żyje, jej córka chyba także. Jakie to dziwne, że tylko on jeden przechowuje wciąż w głowie wizerunki tych ludzi. Gdyby nie fakt, że wciąż żyją w miękkim splocie tkanki pod jego czaszką, mogliby nigdy nie istnieć. A z nich wszystkich najczęściej wraca do niego Douglas. Pcha mu się przed oczy w tej jankeskiej czapce, krzycząc chrapliwym głosem: „Vincent, ten kraj umiera!”. Udręka tego człowieka... I tęsknota, jaką musiał czuć za... za czym? O co mu chodziło?

Gapiąc się w szare morze i ciemniejące niebo, Levin zrozumiał nagle, że dla Douglasa ów destylator terpentyny musiał być dziełem sztuki. Ten człowiek poświęcił siebie, swoją karierę, żonę i dzieci, aby wykreować w umyśle wizję jakiegoś piękna. W przeciwieństwie do mnie, myślał Levin, czy większości ludzi, którzy nigdy nie uchwycili tego niewidzialnego promienia, popychającego ich wyobraźnię ku czemuś nowemu. A więc tak naprawdę liczy się tylko twórczość, powoływanie do życia tego, co dotąd nie istniało.

- I tego akurat nigdy bym nie potrafił - rzekł głośno i czując już dojmujący chłód, podreptał co prędzej przez plażę w stronę domu.

Pośrodku salonu stanął na chwilę jak wryty, bo nagle nasunęło mu się pytanie, czy... jakże mu było na imię? Młodszemu synowi tej... no kogo? Aha, Lilly O'Dwyer. Peter! Tak, Peter. Czy on może jeszcze żyć? Miałby teraz czterdziestkę z okładem. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów Levin poczuł przypływ sił życiowych. Jak wspaniale tu być, stać prosto na ziemi! Mieć swobodę myślenia! Panować nad wyobrażeniami! Klasnął w dłonie

i z szuflady pod telefonem szybko wyjął starą książkę adresową Adele. Odszukał numer ich biura podróży:

Kendall Travel. Pani Kendall, tak. Bardzo pomocna osoba.

- Kendall Travel. Czym mogę służyć?

Żyła! Rozpoznał ją po głosie. Poczul przyptyw litości nad sobą kiedy zdał sobie sprawę, że jedzie na Haiti, ale sam. Nagle znów ogarnął go żal za zmarłą żoną. I na koniec, już w samolocie, zastanawiał się, po co to robi, po co leci do kraju, który z całą pewnością osunął się w przepaść. Co się za tym kryło? Czy może chodzi tylko o to, że jest starszym panem na j ałowym biegu i nie ma nic lepszego do roboty?

\*

Peter O'Dwyer pamiętał Levina, ku zaskoczeniu tego ostatniego. On sam także go rozpoznał, i to już w chwili, gdy tylko przekroczył próg małej, niechlujnej kanciapy na przystani. Dwa prefabrykowane okna wyglądały na port z jego na pół zatopionymi wrakami i rdzewiejącym frachtowcem, którego pokład nie zdradzał żadnych śladów życia. Kilkunastu czarnych robotników montowało i pakowało krzesła w magazynie z blachy falistej - Levin musiał przez niego przejść, aby się tu dostać.

Peter nadal był śniadym bosym dzieckiem, które tamtego pierwszego wieczoru opychało się czereśniami, tyle że wyrosniętym - niemal dorównywał wzrostem Levinowi - i potężnie zbudowanym, o srogim, a może po prostu twardym wyrazie twarzy i wyrazistych szarych oczach, jak u weimarskiego wyżła.

- Produkuje krzesła na eksport - wyjaśnił, odpowiadając na pytania Levina. - Takie wyplatane z rafii. Co pana sprowadza na Haiti? I jak mnie pan odnalazł?

- Przez menedżera hotelu Gustafson.

- Racj a, Phil! Czym mogę panu służyć? - W j ego oczach było coś j akby udręka.

- Nie chciałbym zabierać panu czasu...

- Pamiętam, jak pan wtedy grał. Jakiś duet z żoną...

- Zapomniałem już o tym.

- Pierwszy raz ktoś wydobyl z tego fortepianu jakąś prawdziwą muzykę.

- Nie myślałem o tym od lat. Teraz, kiedy pan o tym wspomniał, wydaje mi się, że to był utwór Schuberta.

- Nie wiem, nie znam się, ale to było absolutnie niesamowite. - Jawny podziw Petera zaskoczył Levina i pomógł mu przełamać lody - Gra pan jeszcze?

- Nie, nie na serio. Po pierwsze, żona nie żyje...

- Och, przykro mi. No więc, co mogę dla pana zrobić? - powtórzył z pewnym naciskiem.

- Zastanawiałem się nad tamtym destylatorem terpentyny w sosnowym lesie.

- Nad czym?

- Nad destylatorem, który zmontował tam niejaki Douglas. Był dobrym przyjacielem Vincenta.

- Vincent nie żyje.

- Słyszałem. Nie znał pan tego Douglasa?

Peter zaprzeczył ruchem głowy.

Levin się stropił. Zakładał, że w tym małym kraju z tak niewielką liczbą białych ludzi wszyscy oni wszystko o sobie wiedzą. Wpadł w panikę; kiedy patrzył w szczerę, lecz obojętne oczy Petera, przemknęło mu przez głowę pytanie (niemożliwe, oczywiście), czy Douglas naprawdę istniał.

Uśmiechnął się i rzucił lekceważąco:

- Był trochę stuknięty. Mieszkał z rodziną w rozwalonym bungalowie w lesie.

Peter kręcił głową.

- Nigdy o nim nie słyszałem. Moja matka go znała?

- Nie sądzę, ale jestem absolutnie pewien, że musiała o nim wiedzieć. Czy ona...?

- Nieżyje. Babcia też.

- Przykro mi to słyszeć.

- A czego pan od niego chce? - Ciekawość Petera wreszcie została rozbudzona, ale wobec tak obcesowego

pytania Levin się stropił. No właśnie, czego właściwie chciał od Douglasa?

-Ja... Hmm, po prostu jestem ciekaw, czy on w końcu uruchomił ten destylator. Bo wie pan, Vincent bardzo się obawiał eksplozji.

Wyjaśnienie wydawało się Levinowi niedorzeczne. Eksplozja sprzed trzydziestu lat powodem jego przyjazdu? Więc aby podtrzymać realność sprawy, sięgnął po argument biznesowy:

- Zamierzał wykorzystać żywicę z sosen. Uważał, że tu jest wielki popyt na terpentynę.

Ku jego zdumieniu wyraz twarzy Petera zmienił się w życzliwą ciekawość.

- Z tutejszych sosen? Naprawdę? - Coś wyraźnie pobudziło jego wyobraźnię.

Zadowolony, że nie uznano go za wariata, Levin przeszedł do twardych realiów:

- To nie najlepsza żywica, ale według Vincenta całkiem się nadawała. Tyle że samo urządzenie było czystą improwizacją, poskładaną z różnych części, i przy bardzo wysokim ciśnieniu... Zastanawiałem się, czy doszło do wybuchu albo czegoś w tym rodzaju...

-I po to pan przyjechał? - spytał Peter, bardziej zaintrygowany niż krytyczny, co dało Levinowi wrażenie, że może mają z sobą coś wspólnego - jakąś nieokreśloną jeszcze potrzebę, pogląd, uczucie. Roześmiał się z ulgą penitenta po spowiedzi i rzekł:

- Chciałem znaleźć jakiś sposób, żeby się tam znów dostać, ale pewnie tego zbiornika już nie ma. A może jest?

-Jak pan chce tam dojechać?

-Nie wiem. Myślałem o wynajęciu samochodu, jeśli to możliwe. Ale widzę, że tu panuje niezły bałagan...

-Zawiozę pana.

- Naprawdę? To byłoby fantastycznie. Jestem gotów w każdej chwili.

- Może w takim razie jutro? Muszę tu przedtem dopilnować paru spraw.

Peter wstał. Levin podniósł się także i wyciągnął z wdzięcznością rękę. Siła uścisku dała mu poczucie, że przeprawił się z wody na ląd.

\*

Ciężarówka land-rover jechała z trudem, jej silnik Diesla ryczał jak tocząca się beczka łożysk. Peter miał na sobie brunatną koszulę i białe drellichowe spodnie oraz grube, znoszone buty i bejsbolówkę z logo Texaco. Starannie podwinęte rękawy odsłaniały masywne, opalone przed ramiona, napięte jak końskie policzki. Za przednim siedzeniem rozciągał się pełnowymiarowy materac, okryty czerwonym kocem w szkocką kratę, z dwiema poduszkami. Menedżer Gustafsona, gawędząc z Levinem przy wejściu do hotelu, wyszczerzył zęby na widok podjeżdżającego wehikułu i ze złośliwym uśmiechem mruknął coś na temat mnóstwa rzeczy które ponoć działy się na owym materacu. Peter, przystojny ze swą czystą, opaloną twarzą, wydawał się pełen zapału, nie taki spięty jak przy ich wczorajszym spotkaniu. Kiedy wyjechali z miasta i pieli się ku sosnowym lasom, robił wrażenie zadowolonego z wycieczki.

-Nie byłem tam od dziecka - wyjaśnił.

-Jest jakaś inna droga na górę?

-Nie. Czemu pan pyta?

-Bo nie przypomina tej, którą zapamiętałem. Czy nie było tu lasu?

-Możliwe.

Peter zmienił bieg z czwartego na trzeci, miejscami musiał zejść nawet do dwójki. Po obu stronach drogi ciągnęła się kilometrami goła ziemia, rozsypująca się w pył. Levin wciąż miał w pamięci obraz drzew, ale cały czas jechali po beżowobiałym skalnym podłożu - nawierzchnia zniknęła.

-Jak daleko do szczytu?

-Co najmniej godzina, może więcej przy takiej drodze.

-Vincent mówił, że las jest rozkradany.

- Tak jak wszystko - zgodził się Peter.

- Nie mogę w to uwierzyć. - Levin machnął ręką w stronę zniweczonego kraju obrazu.

Peter ledwie skinął głową. Trudno było powiedzieć, co czuje. Zahamował przed rowem przecinającym drogę w poprzek, potem wjechał do niego i znów się wycofał. Sztywna rama ciężarówki wydała głośny jęk.

- Jezus, pamiętam, że była tu dobra droga!

- Erozja. Kiedy usunięto drzewa, ostatnie huragany dosłownie wszystko wymiotły.

- Wygląda, że przepadło na zawsze.

Peter przytaknął nieznacznie.

- Zupełnie jakby wyzarli ten kraj do cna i wysrali go zpowrotem!

Peter zerknął na niego przelotnie i Levin pożałował swego wybuchu; sprawy zaszły tu tak daleko, że oburzenie musiało graniczyć z ekstrawagancją.

W rzeczywistości gniew Levina przypominał Peterowi ludzi, których znał jako chłopiec. Ojciec, a potem babka i matka zwykli przemawiać tym tonem, jakby można było temu zaradzić. Ten pomysł interesował go umiarkowanie, podobnie jak oldtime jazz. Lubił rytm, ale słowa uważał za głupie i przestarzałe.

Podłoże było tu przechylone w bok. Peter musiał trzymać się klamki, żeby nie wpaść na Levina, który uchwycił się deski rozdzielczej. Nie przypominał sobie niczego podobnego. Teraz z prawej strony ukazali się ludzie i coś, co wyglądało na wystające z ziemi stoły. Peter przejechał skalną pustynię i zatrzymał wóz. Za stołami przycupnęło skupisko chat małej wioski. Levinowi przyszło do głowy, że ta sceneria Peterowi musi także wydawać się osobliwa.

Siedziały tam przeważnie kobiety w łachmanach; każda pilnowała swojego stołu, na którym miała wystawione towary, zupełnie nie wiadomo po co, przy braku jakichkolwiek nabywców. Peter z Levinem chodzili między stołami, kiwając głowami kobietom, chociaż te w ogóle na to nie reagowały. Na stołach leżały stare grzebienie, pojedyncze naczynia, noże, łyżki, widelce - niektóre zardzewiałe, na jednym także stare butelki po napojach, zmatowiałe od słońca i deszczu, nakrętki do butelek, ołówki i ich końcówki, zdarte buty. Wszędzie kręciły się pod nogami opuchnięte od głodu dzieci, niektóre poniżej roku, wdychając otwartymi ustami kurz. Peter wziął małą łyżeczkę z zatartym wygrawerowanym napisem i podał kobiecie monetę. Na koniec przystanęli, rozglądając się wokół, ale ludzie udawali, że ich nie widzą.

- Po co oni to robią? Skąd biorą klientów?

Peter wzruszył ramionami; wyraźnie denerwowały go te pytania, jakby Levin mówił za głośno przy grobie. Wrócili do ciężarówki.

Namiastka drogi była odgradzona kawałkiem uciętego kabla, który kiedyś znaczył jej brzegi.

- Czyżbym się mylił? - pytał dalej Levin. - Tu kiedyś rósł las, prawda?

Nie wiem, może. Ale sto lat temu wyspa miała osiemdziesiąt procent zalesionej powierzchni, a teraz ma mniej niż trzy. - I po chwili dodał. - Powiada pan, że znał tego Douglasa?

- Tak, ale przelotnie. Spędziłem tu tylko jeden dzień.

- Co on kombinował?

- Trudno to opisać. Był niemal jak w gorączce. Vincent uważał go za lekko stukniętego, ale ten gość na pewno chciał zrobić coś i dla tego kraju, i dla siebie samego. Wystartować z jakimś niedużym przemysłem, stworzyć miejsca pracy, ofiarować ludziom trochę godności. Słyszałem, jak o tym mówił.

- I dlatego tak to pana interesuje? - W głosie Petera nie było ani ironii, ani drwiny.

- Niejestem pewien. W pewnym sensie tak.

- W jakim?

- Nie wiem, jak to wyłożyć. Przypuszczam, że chodzi o jego przekonanie. To ono wywarło na mnie takie wrażenie. Na swój zwariowany sposób on kochał to miejsce.

Peter obrócił się gwałtownie do Levina, ale zaraz znów skierował wzrok na drogę.

- A co by tu miał do kochania? - Pytanie wyraźnie było dla niego ważne.

-No cóż, nie wiem - roześmiał się Levin. - Teraz, kiedy pan pyta... -I po chwili dodał: - Pan w ogóle nie słyszał o Douglasie? - Ciężarówką rzucało dziko na boki.

-Nie. Ale wtedy ganiałem tylko po całej okolicy i nie miałem czasu słuchać. - Po chwili spytał z pewną nieśmiałością: - Pan naprawdę tylko po to jechał taki kawał drogi?

Levin zmieszał się lekko.

-Właściwie to nie mam zbyt wiele do roboty. Żona nie żyje, tak samo większość przyjaciół. Nie wiem czemu, ale ten facet wciąż nie daje mi spokoju, dużo o nim myślę. Szczerze mówiąc - próbował zachichotać - czasem wydaje mi się, że to wszystko sobie wymarzyłem. A teraz, kiedy przyjechałem, okazuje się, że nie ma już żadnego świadka!

Peter prowadził wóz w milczeniu, ostrożnie objeżdżając duże dziury. Zaczęli mijać kępy ocalałych sosen i powietrze wyraźnie pochłodziło.

- Właściwie - ciągnął Levin - żeby być absolutnie szczery, to nie wiem, po co przyjechałem. Po prostu czułem, że muszę. To kwestia niemal - roześmiał się znowu - zdrowia psychicznego.

Peter zerknął na niego z ukosa.

- Naprawdę chciałbym odnaleźć ten destylator, jeśli to możliwe. Po prostu zobaczyć go jeszcze raz.

- Rozumiem - mruknął Peter. - Też chciałbym go zobaczyć.

Kiedy ze zgrzytem wjechali na szczyt, sto metrów dalej zobaczyli drugiego land-rovera, zaparkowanego na pustkowiu. Wokół siedziało kilku ludzi. Peter zatrzymał wóz. Obaj z Levinem wysiedli i podeszli do pojazdu - taksówki, mocno przechylonej na prawy bok. Leżał pod nią jakiś mężczyzna, zapewne szofer, próbując coś naprawić. Widzowie stanowili dziwne zbiorowisko: poważna młoda kobieta w krótkiej czerwonej sukni, czarnych pończochach, na wysokich obcasach, z upiętymi wysoko włosami i wielkimi mosiężnymi kolczykami siedziała na rozłożonej na ziemi gazecie; obok niej niski mężczyzna z dużym brzuchem i pistoletem u pasa zerkał na nią co jakiś czas niczym pies pilnujący owiec. Na płaskim kamieniu wychudzona matka przyciskała do siebie niemowlę, para młodych wieśniaków stała, paląc papierosy, inny młody mężczyzna siedział z głową między kolanami.

Peter zajął pod nadwozie, ale nikt się nie odezwał. On też ani ich nie pozdrowił, ani nie zwracał na nich uwagi. Przemówił po kreolsku do szofera, który przerwał pracę i odpowiadał po cichu na jego pytania. Levin usłyszał z tyłu tętent; brązowy koń z białym pyskiem galopował z jeźdźcem w ich stronę przez pustkowie. Był mały, ale pięknej budowy, z arabskim łbem i szczupłymi, nerwowymi nogami, które, gdy jeździec ścigał wodze, ani na chwilę nie pozostawały w bezruchu, tylko klaskały podkowami o luźne kamienie. Sznur wokół końskiej szyi był grubości cumy i porządnie okręcony aż do żuchwy. Jeździec miał długie dredy i radosny uśmiech na twarzy.

- Szczęść Boże wam wszystkim! - zawołał wesoło. - Pomyślcie o cierpieniach tego świata i dziękujcie niebu za zdrowie i dobry nastrój!

Pozdrawiam was, bracia i siostry, z całą dobrą wolą wszechświata!

Grupa odwróciła się do niego i słuchała bez reakcji. Peter wstał i podszedł bliżej do przybysza.

- Mają problem - rzekł.

- Tak, widzę - odparł tamten. - Ale nie wolno nam wątpić, że mogło być znacznie gorzej.

- Chciałbym kupić tę linę - Peter wskazał na sznur wokół końskiej szyi.

- O, przykro mi, ale to niemożliwe. Muszę go wiązać, bo inaczej mi ucieknie, kiedy zsiądę.

- Zapłacę ci i kupisz sobie nowy.

- Ale jak mógłbym zsiąść?

- Możesz poprosić kogoś, żeby ci pottrzymał konia, jak będziesz kupował sznur.

-Nie, nie.

- Dam ci amerykańskiego dolara!

-Nie, nie.

- Dwa dolary.

- Za ten sznur? - Jeździec zaczął się namyślać.

- Tak.

- Nie, nie.

Koń, przewracając oczami, zatoczył nagle krąg i stanął pyskiem do Petera. Jeździec z nieznanymi przyczyn rozwiązał sznur, odwinął go i pozwolił mu opaść w nastawioną dłoń Petera. Ten sięgnął po portfel, ale jeździec, walcząc z wodzami, kręcił się to w prawo, to w lewo, aby stać twarzą do Petera i grupy. W końcu podniósł ramię, krzyknął: „Pamiętajcie o Bogu!”, po czym pochylił się nisko, by utrzymać się na grzbiecie, gdy koń dosłownie fruwał, sypiąc spod kopyt na nagie zbocze grad obłuzowanych kamieni.

Levinowi mignął w głowę niespodziewany dar w postaci akumulatora sprzed trzydziestu lat i przebiegł mu zimny dreszcz po plecach. Peter kucnął przy ciężarówce i instruował szofera, gdzie ma umieścić zaczep pod ramą. Złamany sworzeń sprawił, że resor wypadł z ramy. Komendy wydawały się brutalnie lakoniczne, niecierpliwe, czasem zrzedliwe.

- Nie! Na lewo! Na lewo, mówię, czy ty nie odróżniasz lewej strony od prawej? Przytrzymaj to w miejscu i pchnij do góry! Dobrze, teraz wylaż.

Szofer wylazł spod wozu, a Peter położył się na ziemi i wsunął sznur. Grupa obserwowała go bez komentarzy, z zainteresowaniem, ale na dystans. Wszyscy czekali w milczeniu, kiedy pracował. Wkrótce on także wysliznął się spod pojazdu i ze skinieniem głowy - nie tyle z wdzięcznością, ile z niemym uznaniem - przyjął od mężczyzny z pistoletem niebieską bandanę do otarcia rąk. Wyczerpany, chudy jak szkielet szofer stał przed Peterem, salutując.

- Jedź powoli - ostrzegł go Peter. - Ten grat już długo nie pociągnie. Bardzo powoli!

Grupa zapełniła skrzynię land-rovera. Levin wytarł Peterowi tył koszuli z ziemi. Człowiek z pistoletem zaganiał do ciężarówki kobietę w czerwonej sukni, trzymając rękę w powietrzu nad dolną częścią jej pleców. Kiwał uparcie głową do Petera, który, oddając mu chustkę, wskazał rewolwer na jego biodrze.

- Potrzebujesz tego tutaj ?

- Złe typy zaczynają złazić z drzew.

- A woj ska tu nie ma? Albo *gendarmerie*?

Mężczyzna odrzucił w tył głowę i parsknął cichym śmiechem. Potem zsalutował i wszedł do land-rovera obok swojej kobiety.

Peter się nie odezwał i podczas dalszej jazdy robił wrażenie zagniewanego. Levin czuł się odpowiedzialny za jego brudną koszulę, za niebezpieczną bezcelowość samej wyprawy, nawet za brzydotę pustkowiec, przez które przejeżdżali.

- Dziwne, że dał panu ten sznur za darmo - rzekł, próbując go nieco rozchmurzyć. Potem opowiedział mu historię o pożyczonym akumulatorze, która rozegrała się trzydzieści lat temu niemal w tym samym miejscu.

- I co z tego? - spytał Peter.

- Nie wiem, po prostu wydaje mi się to niezwykle. A może oni normalnie pomagają w ten sposób obcym? Peter zastanawiał się przez chwilę.

- Nie sędzę. Ale też nie rozumiem, co dociera do ludzi. Ten chyba po prostu chciał to zrobić.

Levina uderzyło, że Peter zatrzymał się, by naprawić taksówkę, bez żadnej myśli o jakiejś nagrodzie. Zrobiło mu się wstyd, a potem głupio, kiedy daremnie próbował zrozumieć swego towarzysza, tak samo jak nie umiał zrozumieć podarunku jeźdźcy czy tamtego kierowcy sprzed lat. Może tym, co go oszołomiło, był brak u Petera jakiegokolwiek sentymentalizmu czy entuzjazmu wobec ludzi, którym pomagał. Już prędzej w jego tonie, kiedy wydawał polecenia obcemu szoferowi, dźwięczało coś w rodzaju pogardy. Więc po co zwracał sobie głowę?

Po obu stronach drogi pojawiły się teraz rachityczne sosny, wśród których widać było liczne pniaki. Droga znów miała czarną nawierzchnię. Peter zerknął na Levina i spytał:

- Powinniśmy już być blisko. Poznaje pan coś z tego?

Oni mieszkali w bungalowie przy bocznej drodze. Niedaleko od biura menedżera, o ile pamiętam. Chyba po prawej stronie, ale teraz, kiedy nie ma drzew, trudno powiedzieć.

- Biuro powinno być kawałek dalej, może uda się kogoś zapytać... - Ale nagle Levin rozpoznał stertę białych kamieni obok gruntowej drogi odchodzącej w prawo. - To tutaj! - krzyknął i Peter skręcił gwałtownie w wąski trakt. Mniej więcej sto metrów dalej stał bungalow.

- Ostatni raz widziałem go trzydzieści trzy lata temu...

Peter podjechał pod ganek. Osłona była zerwana, drzwi stały otworem, w oknach straszły rozbite szyby. Miejsce wyglądało ponuro. Levin wysiadł z wozu i wszedł z Peterem na ganek, stukając głucho butami o deski. Przystanął na chwilę, by obrzucić wzrokiem śmietnik na podwórku, chwasty, zeschłe krzewy. Więc jednak nie przyśniło mu się to wszystko - naprawdę widział Douglasa studiującego rysunki, wołającego o herbatę, widział jego żonę w różowej bluzce z ręką na temblaku. Zamierzali przechytryć system, krążyć po morzu, wyświetlając filmy, a nocami leżeć na pokładzie i patrzeć w gwiazdy. A potem wynikła sprawa terpentyny: chcieli być użyteczni, zrobić coś ważnego. Chodził teraz po ich głównym pokoju. Cztery książki w rozsypce nadal stały na półce nad kominkiem, z paleniska sterczały dwa długie zwęglone polana. Fisharmonia stała na swoim miejscu pod ścianą. Żona Douglasa zapraszała wtedy Levina, aby im zagrał; teraz już nigdy się nie dowie, skąd wiedziała, że potrafi. Podeszedł do instrumentu. Zdawało mu się, że jego kroki wywołują echo. Z klawiszów zerwano kość słoniową.

Usiadł na skrzynce i nacisnął pedał, ale przegniłe miechy zaświszczały. Przypomniał sobie, jak weszła w różowej bluzce, osłaniając opiekuńczym gestem gips. Rozejrzał się wokół: pokój wyglądał tak samo jak wtedy, nie było tu nic do rozkradania, a ich marzenie i zachwyty znikły razem z nimi. Być użytecznym - oto idea, która zawładnęła Douglasami, podobnie jak Vincentem, ale ostatecznie wygrało coś innego.

- Mam wrażenie, że mógłbym znaleźć ten destylator. Jechaliśmy wtedy do niego z tego miejsca - rzekł Levin, kiedy wyszli na zewnątrz. Peter jakby nieco zmiękł.

- Czy to wyglądało wtedy tak samo? - spytał. Chyba złapał w końcu bakcyła przygody i spodobały mu się poszukiwania. Zdaniem Levina przekonała go ostatecznie bezinteresowność przedsięwzięcia, romantyzm naturalnego pędu do odkrywania zaginionych rzeczy. Może dlatego, spekulował Levin, że jego matka zastąpiła kiedyś ojca Petera innym mężczyzną. Jak sam Levin, Peter zdawał się żyć z jedną nogą za skrajem przepaści, szukając chmury, na której mógłby stanąć.

Peter wjechał ciężarówką na brukowaną drogę i wolno posuwał się naprzód. Levin przyglądał się poboczom zarośniętym splątanymi pnączami i krzewami, starając się wypatrzeć jakiś znak. Mijając „alpejskie” biuro menedżera, Peter zwolnił, ale żaden samochód nie parkował przed frontem, więc pewnie nikogo nie było w środku.

- Tak czy inaczej, wolałbym nie wciągać w to rządu - rzekł Levin. Od czasu śmierci Adele jeszcze nigdy nie odczuwał tak mocno jej nieobecności. Pragnął jej teraz, w tej ciężarówce, widział ją tak jak wtedy, młodą, czterdzieści lat przed śmiercią, z jędrnym ciałem i pełnymi, oplatającymi go ramionami. Ja chyba też szukam tego, co utracone, pomyślał, i ta właśnie idea zdawała się przyświecać jego powrotowi w to miejsce. Uśmiechnął się do tej koncepcji: czyżbym to jej cały czas szukał? Omal nie wypowiedział tego na głos, ale zaraz pomyślał: cóż, taki sam dobry powód jak każdy inny.

Jechali jeszcze pół kilometra. Kiedy Levin powiedział, że nie przypomina sobie, aby destylator znajdował się tak daleko od biura, zatrzymali się i natychmiast usłyszeli w pobliżu warkot piły łańcuchowej. Wysiedli i odnaleźli wąską ścieżkę prowadzącą w gąszcz. Po krótkim marszu natrafili na czterech mężczyzn rąbiących zwaloną sosnę. Obok na polanie leżała sterta gałęzi. Na widok obcych natychmiast przerwali pracę, czekając, co powiedzą blancs. Wszyscy byli młodzi, około dwudziestki, z wyjątkiem jednego pochylonego, siwowłosego starca w podartym płaszczu, z maczetą zwisającą z jednej dłoni i kosturem w drugiej. Z trudem łapał powietrze. Peter podeszedł do niego i dotknąwszy czapki w milczącym pozdrowieniu, spytał, czy długo pracuje w tej okolicy. Mężczyzna odpowiedział, że tak, przez całe życie. Pozostali obserwowali ich czujnie, świadomi, że są

na cudzym terenie.

- Kiedyś jeden *blanc* mieszkał w tym bungalowie z żoną i dwójką dzieci. Kierował maszyną do wyrobu terpentyny. Słyszeliście o nim?

- Pracowałem dla niego - odparł starzec. - Jako młody chłopak.

- A tę maszynę da się jeszcze odnaleźć?

- Jest tam - starzec wskazał kierunek, z którego Peter z Levinem przyjechali.

Razem ze swym informatorem imieniem Octavus, którego umieścili między sobą, cofnęli się do brukowanej drogi. Starzec trzymał między nogami maczetę, skierowaną czubkiem w dół. Miał małe oczka w spłaszczonyj twarzy i wypełniał kabinę odorem stęchlizny, charakterystycznym dla starych mężczyzn.

Śmierdzi jak stare żelastwo, jeśli ono ma w ogóle jakiś zapach - zauważył Peter, po czym zwrócił się po kreolsku do pasażera: - Papa, zbliżamy się czy oddalamy?

- *Pres, pres.* - Staruszek pokazywał przed siebie.

- *Pres* może oznaczać i kilka kilometrów - rzekł Peter, ale w tym momencie Octavus wskazał palcem gęstwiny.

- *V'la! V'la!* - krzyknął ze śmiechem, jakby zwyciężył w jakiejś grze.

Zesztywniały Octavus ześliznął się z siedzenia na ziemię bezwładnie niczym deska. Peter chwycił go pod ramię, kiedy chwiejnym krokiem poczłapał w zarośla, torując sobie drogę maczetą i osłaniając twarz przed gałęziami. Idzie, jakby rozdzielał morze, pomyślał Levin. Kolczaste pnącza czepiały się ich ubrania, jak gdyby broniły im dostępu. Levin, który szedł na końcu, czuł, że brakuje mu tchu. Przypomnił sobie o wysokości tego miejsca, a może to nadciąga dawno oczekiwany atak serca? Nieznaczące kłopoty z oddechem przypomniały mu złamany nos Jimmy'ego P., który rzeził jak bokser przy każdym wysiłku. Razem z tym obrazem przyszła refleksja, że Jimmy także nie żyje od dwudziestu paru lat. A co się stało z tą jego beznadziejną wiarą w Rosjan, we wrodzoną cnotę klasy pracującej i nieuchronne zmierzanie historii do dobrodziejstw socjalizmu? Tak głębokie przekonanie zasługiwało niemal na wymiar i wagę wystarczającą, by je pogrzebać; może by warto ogłosić dzień wolny od pracy, żeby ludzie mogli odwiedzać swoje umarłe poglądy. Zabawne, o wiele łatwiej było zaakceptować zniknięcie z powierzchni ziemi samego Jimmy'ego niż jego pasji i całej zawartej w niej mieszaniny miłości i zemsty. Co może powodować większy upadek ducha niż zmarnowane poświęcenie, pozostałe za znikającymi krokami ludzi, których ono zwiódła na manowce? A może istniał jakiś inny cel tych wszystkich dążeń?

Weszli na polanę pełną pniaków i chwastów. Stary człowiek zatrzymał się razem z Peterem, który nadal dotykał jego łokcia, gotów podtrzymać go, gdyby groził mu upadek, a jednocześnie wskazywał na prawo, gdzie w gęstych zaroślach widać było niewielkie wzniesienie, pokryte u podnóża kolczastymi pnączami. Kiedy po chwili ich oczy przystosowały się do panujących w gęstwinie ciemności, zobaczyli w środku wysoki, czarny cylinder o średnicy około dwóch metrów, wysoki na około pięć. Ustawiony pod kątem obiekt opierał się o zboczony górny częśćią, co wyglądało, jakby odpoczywał po wielkim wysiłku.

- A niech mnie diabli - szepnął Peter - on to naprawdę zrobił! - Zaśmiał się, zszokowany tą czystą prowokacją, chociaż oczy miał poważne.

- Niesamowite, co? - rzekł Levin, zadowolony, że Peter znalazł w tej wyprawie coś podniecającego, co wynagrodziło w pewien sposób jego trud. Sam też poczuł ulgę, widząc, że to wszystko okazało się prawdą. - Przywłókl to tutaj aż z portu! Wie pan - ciągnął ze śmiechem, nie potrafiąc powstrzymać impulsu do zwierzeń - jadąc tu, wcale nie byłem pewien, czy sobie tego wszystkiego nie wymyśliłem, czy to czasem nie jakaś moja obsesja. Naprawdę mi ulżyło, chociaż nadal nic nie rozumiem.

- Cóż, musiał pan zobaczyć, żeby uwierzyć - odparł Peter. - Muszę przyjrzeć się temu bliżej. - Pożyczył maczetę od Octavusa i natarł na barierę z pnączy. Levin starał się pomóc, odginając pędy.

- To jak kryjówka leoparda - mówił, dysząc ciężko. - Natknęliśmy się kiedyś na coś takiego w Afryce razem z żoną. Leopardy są bardzo taj emnicze, żyją w środku kolczastych zarośli, takich jak te...

W końcu, kiedy przetrzebili eukaliptusowy gąszcz, słońce oświetliło główny zbiornik, wraz z gromadą

mniejszych, połączonych z nim rurami. Niektóre z tych rur musiały kiedyś prowadzić do kolejnych zbiorników, bo miały odcięte końce. Całe urządzenie sterczało nad nimi niczym bóg z węzowymi ramionami, jakaś obecność, niemy zamiar proszący, by go odczytać. I było znacznie większe, niż wydawało się z początku, może miało sześć czy siedem metrów wysokości i trzy do czterech szerokości.

- Boże! - Peter wypuścił powietrze z płuc. - On naprawdę miał w głowie ten zamysł, wlokąc to taki szmat drogi!

- Co ja bym dał, żeby wiedzieć, czy to w końcu odpalił - westchnął Levin.

Peter odwrócił się do Octavusa i zapytał go po kreolsku, czy destylator kiedykolwiek działał. Staruszek westchnął i opadł ciężko na pień; zaczął mówić coś ochryplym, skrzekliwym głosem. Peter bez wysiłku usadowił się na ziemi i tłumaczył. Levin przykucnął, ale zaraz przewrócił się na plecy.

Mister Douglas rozpałił ogień, a Octavus wraz z trzema innymi doili sosny. Przypomina sobie Jamajczyka Vincenta, który nadzorował proces przez jeden dzień - potem już nie wrócił. Wyprodukowali terpentynę, co zakrawało na cud, i każdy dostał po j ednym litrze z pierwszej partii; potem baryłki zawieziono do portu ciężarówką. A potem zaczęli się schodzić jacyś chorzy ludzie, ale nie mieli czym płacić za terpentynę, więc mister Douglas dał kilku z nich po kubku jako lekarstwo na kiszki, na kłopoty ze skórą, popękane gęby i dla dzieci, aż w końcu zaczęły walić straszne tłumy w nadziei na uleczenie chorób. Douglas nawet badał ich jak jakiś doktor, aj ego żona robiła za pielęgniarkę.

- Niektórzy ludzie - ciągnął Octavus - płacili mu kawałkami koziego mięsa albo fasolą, ale on chyba potrzebował pieniędzy na rozruch. Tak przynajmniej wykombinowałem, bo moja rodzina zawsze prowadziła sklep, więc znam się na biznesie. W końcu mister Douglas poszedł do banku w porcie i oni przysłali jakichś facetów, żeby rzucili okiem na urządzenie, ale orzekli, że to nie jest dobry gatunek sosny, i nic mu nie dali.

Pracowaliśmy w ten sposób przez pięć czy sześć miesięcy, aż pewnego ranka, kiedy właśnie zaczynaliśmy, przyszedł mister Douglas i kazał nam przestać, bo ponoć nie miał już czym nam płacić. Usiedliśmy sobie i gadaliśmy o tym, ale nikt nie mógł nic wymyślić, więc rozeszliśmy się i już nie wróciliśmy. Ja jednak mieszkałem niedaleko, dlatego każdego ranka zaglądałem tu, żeby sprawdzić, czy mister Douglas nie zamierza znów wystartować. No i raz zastałem go pochylonego przed głównym zbiornikiem, jakby w modlitwie, ale się nie ruszał, a kiedy go dotknąłem i podniosł na mnie wzrok, jego twarz to była tylko skóra i kości. Powinienem jeszcze wspomnieć, że jego żonie ręka spuchła kiedyś jak bania i wyjechała do Stanów na operację, zabierając dzieci, a potem już jej nie widzieliśmy. Douglas ujął mnie za rękę i dość długo siedzieliśmy sobie razem na ziemi. Mówił dobrze po kreolsku, więc dobrze to pamiętam. Mówił, że umiera, i dziękował mi za dobrą pracę - bo wiecie, ja nigdy nie pozwoliłem sobie na przestoje i jeszcze odpowiadałem za innych. I jeszcze powiedział, że to ja powinienem być teraz właścicielem. Dał mi jakiś papier, który wyjął z kieszeni koszuli, ale tam było po angielsku i nie umiałem przeczytać, dopiero ksiądz mi wytłumaczył, że jestem spadkobiercą. Tylko skąd miałem wziąć forszę na zapłatę dla robotników? No i tak się to skończyło.

- Wtedy widziałeś go ostatni raz, tak? - spytał Peter.

- Nie, po jakimś czasie poszedłem do jego domu, żeby zobaczyć, czym się żywi, skoro jest taki chory. Był całkiem sam, tylko jakaś stara kobieta poila go kozim mlekiem i tak dalej... Ucieszył się na mój widok, trzymał mnie za rękę, a potem napisał kilka słów na papierze i dał mi go. Już go więcej nie widziałem żywego, ale papier mam zawsze przy sobie.

Sięgnął pod pachę do wyświechtanego woreczka z giemzowej skóry i wyciągnął pożółkły skrawek papieru nutowego z nazwiskiem Douglasa elegancko wydrukowanym na górze. Peter przeczytał i podał kartkę Levinowi: *Jeśli ta idea przepadnie, to trudno, ale jeśli potrafisz ją przechować, zrób to, a na pewno pewnego dnia dźwignie cię w górę.* Podpisano: *Douglas Brown.*

Peter obserwował pilnie starego.

- Jaką ideę miał na myśli? - Levin uchwycił w jego głosie tęskną nutę.

Stary miał głowę niczym blok skalny; musiał kiedyś być niezwykle silny. Kręcił nią teraz z powagą.

- Nie wiem. Nie zrozumiałem... Te zbiorniki...

Urwał i patrzył na nie przez dłuższy czas, jakby próbował wydobyć coś z pamięci. Levin pomyślał, że po tych wszystkich latach jemu też mogło się to wydać snem. Stary już chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Potrząsał tylko głową, mrugając małymi oczkami. I teraz - myślał Levin - to wszystko osunie się w niepamięć. Całe to życie, cała troska, nadzieje, a niechby nawet bez ładu i składu...

Kiedy przeciskali się już w stronę drogi, Levin dostrzegł w zaroślach błyszczącą śrubę. Podniósł ją i schował do kieszeni, zastanawiając się, jaki metal potrafi zachować połysk przez tyle lat. Już w ciężarówce obejrzał się na starego i zobaczył, że ten oddala się z zadowoloną miną.

- Wygląda teraz na szczęśliwszego - zauważył.
- Pewnie dlatego, że przekazał to komuś - domyślił się Peter.

\*

Kołysząc się z łomotem na niemiłosiernych resorach, land-rover zsuwał się ze zdewastowanej góry. Diesel z wysiłkiem pokonywał szaleńcze spadki prawie nieistniejącej już drogi.

- Naprawdę zniszczyli tu cały krajobraz - zauważył Levin, wyglądając przez okno. - Nigdy bym nie uwierzył, że to możliwe. A kiedyś była tu całkiem niezła droga...

Peter ledwie skinął głową. Jego milczenie - Levin rozumiał to teraz - było rodzajem żałoby po czymś znacznie większym niż własne życie, - cały kraj opanowała dławiąca chciwość, niedająca się wyrazić wobec braku nadziei, by coś dało się zmienić. W ciszy, jaka zapanowała między nimi, Levin wspomniawszy sobie raz jeszcze, jak wtedy, przed laty, przedjechał tędy razem z Vincentem (teraz już nieżyjącym) do domu pani Pat i do Adele, której wieczorem opowiedział całą tę przygodę, jak tamtej nocy w szerokich smugach księżycowego blasku, wpadających przez okno hotelowego pokoju, odkrywali na nowo swoje ciała. To nie do pojęcia, że już jej nie ma, że już nie da się jej odnaleźć... Wtedy, w łóżku, wyglądali jak para olbrzymów o czterech stopach wystających spod przykrycia. Jakże on kochał to, że mógł polegać na jej ciele, czuć się czasem, gdy na niej leżał, zupełnie małym! Wszystko minęło. Telepiąc się teraz między niedomkniętymi drzwiami ciężarówki a ramieniem Petera, zdumiewał się okrucieństwem swego osamotnienia. Douglasa - jak widział - nadzieja doprowadziła do obłędu. Nadzieja dotycząca tej góry, która już wtedy, trzydzieści lat temu, została odarta ze swego życia do gołej skały. Kto potrafiłby wyczuć jeszcze wartość tamtej nadziei? A może to była iluzja? A co nią nie było? Tutaj uchwycił znowu jej powiew; Douglas, błędząc, mógł dotknąć czegoś niemal świętego. Pragnął nadać swojemu życiu na Madison Avenue jakiś sens i z braku lepszych pomysłów porwał się na coś tak absurdalnego. I może właśnie dlatego, chociaż spędzili z sobą tak mało czasu, on, Levin, wciąż ma w pamięci obraz tego człowieka? Chyba zachowa go już na zawsze, nawet gdyby tylko częściowo udało się uchwycić jego związek z nim samym.

Zwrócił się do Petera, którego bądź co bądź znał od czasu, gdy jako mały chłopiec objadał się czereśniami:

- Co pan z tego rozumie?

- To znaczy, z czego?

- W ogóle - Levin machnął ręką w stronę okna. - Z tego wszystkiego.

- Znał pan moją matkę w Nowym Jorku?

- Pańską matkę? Nie, poznaliśmy się tutaj. Czemu pan pyta?

Peter wzruszył ramionami, ale zdecydował się kontynuować.

- Oni wszyscy uważali, że znajdą tu odpowiedź. Polityczną odpowiedź. Pan też myślał w ten sposób?

- Ja? Chodzi panu o jakiś rodzaj socjalizmu.

- Tak.

- No owszem, przez pewien czas.

- I co się z tym wszystkim stało?

- Cóż, po pierwsze Rosjanie. Te obozy, zacofanie i tak dalej zniechęciły ludzi... A poza tym amerykańska

dobra koniunktura.

- Czyli to wszystko minęło.

-No chyba tak.

Jechali przez pewien czas w milczeniu. Niekiedy mijali na otwartej przestrzeni pojedynczych ludzi, gapiących się ze zdumieniem na ich samochód. Mieli pokryte kurzem twarze.

-Tutaj to już koniec - zauważył Peter.

Mimo suchego, opanowanego tonu Levin wyczuwał głębię jego zagubienia.

-Będzie pan tu siedzieć w nieskończoność czy...? - Urwał, bo nagle zdał sobie sprawę, że Peter musi kochać ten kraj i żał mu go opuszczać. Po co pogłębiać jego ból?

-Mógłbym wyjechać do Stanów, ale się waham. Moja dziewczyna chce ślubu, a ja sam nie wiem...

-Ciekawi mnie, jakie sąpańskie uczucia wobec Douglasa.

-Nie wiem. To cholerny głupek, jak sądzę.

-Bo?

No cóż, mógł sprawdzić gatunek tutejszych sosen, zanim w to zabnął. I cholera, jak można było nie zasięgnąć informacji w sprawach technicznych? To czysta głupota. - Zastanawiał się przez chwilę. - Ale praca z tymi ludźmi strasznie daje w kość, bez względu na to, co się robi.

-Dlaczego? Co z nimi jest nie tak?

-Mają głowy nie na swoim miejscu. Widzą rzeczy, których my nie widzimy, słyszą to, czego my nie słyszymy.

-Ma pan haitańskich przyjaciół?

-No jasne, wychowałem się tutaj. Ale większości z nich prędzej czy później odbija palma.

-A jednak jest w nich jakiś wdzięk - zaprotestował Levin, myśląc o Octavusie.

-Owszem, w niektórych. Ale teraz krążą w okolicy naprawdę źli ludzie. Z bronią. Podobno pomagają im CIA.

Wciąż słyszy się o zabójstwach.

-I co pan robi?

-Wątpię, by mnie zaczepili, chyba żeby chcieli dołączyć do mojego biznesu. Jeśli przesadzą, będę musiał zamknąć firmę i się wynieść.

Przejeżdżali akurat obok skupiska nędznych chałup z małutkimi ogródkami. Przez kilka minut Levin obracał w myśli kolejne pytanie.

- Myślałem o tym, jak uruchomił pan tamtą taksówkę. To było niesamowite!

-Po prostu podwiązałem resor, to wszystko.

-Muszę przyznać, że mnie pan zaskoczył, zatrzymując wóz, żeby im pomóc.

Peter skrzywił się, wyraźnie niezadowolony z tych indagacji.

-Znałem tego faceta.

-Kierowcę?

-Uhm.

-Nie było tego widać z waszej rozmowy.

- To głupek. Nie powinien w ogóle jeździć. Nigdy nie potrafił uruchomić tego wozu, nawet nie wiedział, gdzie umieścić zaczep. Próbował podnieść samochód, a nie resor, zupełnie odwrotnie, niż trzeba. Kompletny idiota! Pracował u mnie kiedyś, ale w końcu musiałem go wywalić.

- Rozumiem. - A więc Petera tak mocno poruszyło nie tyle bezinteresowne współczucie czy rycerska szlachetność, ile rodzaj eleganckiego zniecierpliwienia głupotą szofera i duma z własnych zdolności, dzięki którym dokonał naprawy? Więc ta pomoc nie była aktem aż takiej szlachetności, jak Levin sobie wyobrażał? Chyba że rycerze także mają ego wymagające masowania. Levin mógł być pewien tylko jednego: on sam nigdy nie zatrzymałby się w takiej sytuacji, nawet gdyby wiedział, jak umocować ten resor. Czy dlatego, że brakowało

mu Peterowej miłości do tych ludzi? A może raczej pragnienia, by się nad kogoś wywyższać?

Uśmiechnął się do siebie w zamyśleniu. Ale gdyby na tym pustkowiu był fortepian, to pewnie z przyjemnością usiadłbym i zagrał im coś. Szofer w tym czasie spartaczyłby wóz do reszty, a ludzie konaliby z głodu i pragnienia, czekając, aż pojawi się jakiś zbawca. *Chacun a son ego* - każdy ma swoje ego. W tym momencie pomyślał znów o destylatorze, rozmiarach głównego zbiornika i wysiłku, jaki kosztowało przewiezienie go z portu przez te lasy razem ze spawarką i generatorem, a potem o gorączkowym apelu Douglasa do Vincenta, o jego popękanych brudnych okularach i krzyku rozpacz: „Vincent, ten kraj umiera!”.

Peter wysadził Levina przed hotelem, obiecując, że wieczorem zabierze go na kolację, wyraźnie uszczęśliwiony z nowego kompana. Levin pomachał mu na pożegnanie i udał się do swojego pokoju. Po prysznicu leżał nago na łóżku, być może tym samym, na którym sypiał z Adele. Przez żaluzje, które tak podziwiała Adele, przenikały odgłosy ulicy - klakson auta, potem dziecięcy szczebiot i ryk motocykla. Znów przypomniał mu się zbiornik. Jak to możliwe, że nadal jest w takim dobrym stanie, tylko z odrobiną rdzy na spawach? Pewnie przetrwałby tam następny tysiąc lat. W pewnym sensie stanowił rodzaj dzieła sztuki, które przebiło się zarówno przez ograniczoność umysłową swego twórcy, jak jego egotyzm i naiwność. Levin był zadowolony, że tu wrócił. Nie, żeby to miało jakieś znaczenie, ale jednak niechęć złożył jakiś hołd aspiracjom Douglasa, idei, która - jak czuł - całkowicie zniknęła z tego świata, przynajmniej ze świata, jaki znał. Pokochał tego człowieka i żałował, że nie miał jego niefrasobliwości. Tęsknił do grania Schuberta z Adele. A teraz zapadał w sen. Może w tym hotelu mają jakiś fortepian, przy którym mógłby sobie wyobrazić, jak żona siedzi przy nim... musi zapytać w recepcji. Wyczuwał nawet jej zapach... Dziwne, że ona nigdy nie zobaczy tego zbiornika.

## **Obecność**

Budzi się za kwadrans szósta ze słońcem świecącym w twarz, wciąż rozdrażniony pretensjami, że za mało robi dla kobiet, wkłada szorty i sandały, zerkając przy tym na jej odsłonięte ramię, spragniony porannej mgły, wychodzi na ziąb, idzie ku drodze na plażę w kłębach mgły, wdzięczny nawet przysłoniętemu słońcu za nieskomplikowany dotyk ciepła na plecach. Skrzypiąc sandałami, mija rząd uszpionych domów, stojących frontem do plaży, oraz drzemiących wzdłuż drogi samochodów, rozgląda się za publiczną ścieżką i w końcu odnajduje ją przy ostatnim budynku. W najwyższym punkcie, tuż przed zejściem, zatrzymuje się, by po raz pierwszy rzucić okiem na srebrzysty ocean, ojczyste wody miłe sercu od zamierzchłych czasów dzieciństwa, kiedy kochały go i straszyły to spienionymi białymi grzywami, to ciemną świętością głębin pełnej żywych stworzeń. Raz, w wieku sześciu, może siedmiu lat, omal nie utonął. Kolejny stopień po pochyłych, wyblakłych deskach - i nagle wśród wysokiej trawy z boku białe ciało, mężczyzna w czarnym podkoszulku, widziany z góry, w trakcie pieprzenia. Zatrzymuje się, aby popatrzeć. Wolno, w przód i w tył... młode ciało, nabite i opalone, na kolanach, całkowicie panujące nad kobietą, niemal niewidoczną zza górki piasku i trawy. Zawraca odruchowo ścieżką i zatrzymuje się bezsensownie dopiero przy drodze. Nie ma innego dojścia do plaży, będzie musiał zaczekać. Paraduje w za luźnych sandałach przed rzędem domków, niezbyt zaskoczony faktem, że nie czuje się pobudzony. Może dlatego, że ów akt jest taki niemy, kontrolowany i dlatego wydaje się odległy, a może chodzi o jego własne zahamowanie? Cokolwiek to jest, nakłada na niego kurtuazyjne ograniczenie, które wkrótce ustępuje złości z powodu uniemożliwienia wejścia na plażę: co za pomysł, żeby robić to trzy kroki od publicznej ścieżki?! Z drugiej strony, nie mogli się spodziewać, że ktoś będzie tędy przechodził o tej porze. Mimo wszystko jednak na pewno tacy się znajdują. Przekonany, że już skończyli, wraca na ścieżkę i znów zaczyna schodzić, zdobywając się na ostrzegawcze kasznięcie; pewnie teraz już leżą obok siebie, może przykryci kocem. Na szczycie wydmy przystaje i widzi, że mężczyzna nadal pieprzy, teraz trochę szybciej, w bezwzględny, dominujący sposób - można by powiedzieć, bożek Pan pieprzący ziemię. Muśnięcie czegoś w rodzaju strachu na ten widok; czegoś uświęconego wobec takiej władzy, takiej pierwotnej wymiany dominacji za uległość. Mężczyzna wciągał teraz powietrze szybszymi, długimi, ale kontrolowanymi w milczeniu haustami. Zawrócił, mając kompletny mętlik w głowie, i szedł w stronę drogi, obawiając się, że zaraz wyrwie mu się krzyk przerażenia. Nie chciał być świadkiem tego absurdalnie świętego sztormu, jakby sama obserwacja czyniła go obscenicznym albo jakby kryło się w tym jakieś wyzwanie, które wołał odrzucić.

Kolejna przechadzka, dłuższa tym razem, prawie cały kwartał od domu, w którym gościli z żoną, i w końcu powrót - ostatnia próba dotarcia na plażę: wdrapał się na wydmy i szedł. Mgła zdążyła już ustąpić czystemu atlantyckiemu błękitowi nieba. Przy ścieżce kształt człowieka ukrytego niczym larwa wewnątrz śpiwora w kolorze khaki, kobieta zniknęła. Ocean przelewał się z wolna, w zgodzie z samym sobą, koronkowa piana omywała łagodnie beżowe zbocze ubitego piasku. Ani żywego ducha w tej dziewiczej wodzie, ale teraz, nieco dalej na prawo, kobieta w czarnych szortach i białej koszulce stała w wodzie do kostek na skraju ustępującej fali i pochylona myła ręce w nieustannie wzburzonej pianie. Z tej odległości nie mógł zobaczyć, jak wyglądała, poza tym że miała pełne, piękne uda, ale włosy sterzczały jej w sztywnych, poskręcanych kosmykach. Obserwował, jak wpatruje się w morze, a potem wspina po pochyłości i wkracza na miękki piasek. Widziała go, ale nie pozwoliła sobie na dłuższe spojrzenie, tylko powędrowała prosto do ich wydmy, rozpostarła koc i usiadła z podwinętymi nogami obok ukrytego w śpiworze mężczyzny. Dzielilo ich od siebie najwyżej pół metra. Odwróciła się, by popatrzeć na podobny do kokona kształt, po czym znów utkwiała wzrok w morzu. Wytarta ręce o koc, wydała z siebie coś w rodzaju westchnienia i położyła się z podciągniętymi kolanami, aby po kilku sekundach obrócić się na bok, tyłem do śpiwora.

Doszedł do brzegu morza, którego syczące ssanie i napór cały czas słyszał w tle - teraz dopiero zdał sobie z tego sprawę. Bez żadnego planu ruszył niespiesznym krokiem wzdłuż krawędzi wody, oddalając się od tamtej pary. Czysta życzliwość oceanicznej otchłani poruszyła go do głębi; nic w jego życiu nie było tak gęste od uczuć, tak mądre i zwodniczo ujmujące owymi delikatnymi głośnięciami, podczas gdy morderczy charakter wzbierał nienawiścią. Śniadaniowy głód; rozpoczynając powrotny marsz w stronę ścieżki wiodącej ku ulicy, przystanął nagle na widok tych dwojga; leżeli kilkadziesiąt metrów dalej - kokon i odwrócona do niego plecami kobieta. Usiadł na piasku i gapił się na nich. Dlaczego przyjął za pewnik, że ona musi się teraz czuć opuszczona i nieszczęśliwa? Czemu ten facet nie miałby być zwykłym ogierem, od którego niczego więcej nie oczekiwała? Może upolowała go, uziemiła i teraz leży tu zwycięska, odpoczywając przed następnym podbojem. Są niemi jak małpy, myślał. Oboje tkwią w klatce swego milczenia i przesytu. I to słońce. Morskie fale sprawiają, że obrót ziemi staje się widoczny. Młoda kobieta usiadła, mężczyzna nadal pozostawał bezwładny w swym całunie, zrobiwszy, co się dało ze swym wcześniej - szym szyderstwem ze śmierci. Kobieta wpatrywała się w morze, mając przed sobą pustą na całą długość plażę. Musieli spędzić tu noc, pewnie było to ich drugie pieprzenie. Odwróciła się teraz powoli i spojrzała na niego pod światło. Spuścił z szacunkiem wzrok, wzruszony z jakiegoś powodu tym, co o niej wiedział, ale potem postanowił odwzajemnić jej spojrzenie. Podniosła się na nogi i zaczęła iść w jego stronę. Kiedy się zbliżyła, zobaczył krągłość jej bioder i bujność piersi. Była niska. Po kilku kolejnych krokach zauważył, że te sterzczące sztywno kosmyki okazały się złudzeniem, spowodowanym pewnie przez mgłę i blask słońca; naprawdę miała gęste, brązowe włosy krótko przycięte na karku, okrągłe policzki i piwne oczy. Linia włosów układała się we „wdowi dziobek”, z uszu zwieszały się pomarańczowe kolczyki z koralu wielkości półdolarówki. Lewy kciuk miała zaklejoną plasterem; może spędziła wiele czasu na plaży pełnej potłuczonych butelek i rozłupanego drewna. Zatrzymała się przed nim, patrząc z góry na siedzącego ze skrzyżowanymi nogami.

- Masz zegarek?

-Nie, ale jest około wpół do siódmej.

- Dzięki.

Zerknęła na morze za jego plecami, pełna niezdecydowania.

- Masz tu dom?

-Nie, przyjechałem tylko na weekend.

-Aha.

Pokiwała kilka razy głową niczym filozof; może zachowała się ekstrawagancko, ale zaczynał czuć, że włączyła go w swoje widzenie świata, czymkolwiek było. Zdawała się przyjmować do wiadomości to, że tam siedzi jedyny człowiek na całej plaży poza nią i jej kochankiem.

Stała w swobodnej pozie, przyciskając koniec plastra do skóry. Potem przeniosła wzrok z kciuka na niego, przyglądając mu się uważnie z przechyloną głową, chłonąc go wzrokiem z ustami rozciągniętymi w miętym, leniwym uśmiechu, jakby oczekiwała od niego jakiegoś wyznania. Poczuli, że się czerwieni, Westchnęła pojednawczo i raz jeszcze spojrzała na wodę; uniesiony lekko podbródek dodawał jej pewnej szlachetności. Teraz zrozumiał absurdalność swego podejrzenia, że to ona była górą na tej plaży.

Coś się wydarzyło. Nie pojmując, zdał sobie z przerażeniem i żalem sprawę, że nawiązał kontakt, nie był już sam; postanowił nie odzywać się więcej bez określonego powodu. Trzydzieści lat wcześniej on też uprawiał seks na tej plaży. Stało tu wtedy znacznie mniej domów. Mogło się to dziać w trawie, na tej samej wydmie, chociaż ta, którą zapamiętał, wydawała się wyższa. Partnerka już nie żyje, do tej pory został z niej pewnie tylko szkielet. Ale oni nie robili tego w tak absolutnym milczeniu. I było wtedy ciemno, pamiętał smugę księżycowego światła na wodzie. Wyglądało to jak droga, której przedłużenie stanowiły czarne włosy kobiety.

Czy ona nie zamierza się odezwać? Starał się sprawiać wrażenie ubawionego, ale kiedy na nią patrzył, wzbierał w nim strach. Szybki rzut oka upewnił go, że śpiwór się nie poruszył, jak gdyby partner opuścił ją dla innego świata. Ale ona nie wydawała się senna. Mogła nadal być na pełnych obrotach. Myśli przemykały po ekranie jej czoła, po opuszczonych powiekach. Patrząc ze swego miejsca na jej nogi, widział je niczym wyrastające z piasku kolumny.

- Obserwowałeś nas.

Zaparło mu dech, ale uczeplił się swojej racji.

- Nie miałem pojęcia, że tam jesteście.

- Wiem, widziałam cię.

- Naprawdę? Ja cię nie widziałem. Zasłaniała cię trawa.

- Aj jednak cię widziałam. Czy wyglądaliśmy niesamowicie?

- O, jak najbardziej.

Odwróciła się i zerknęła na śpiwór, kręcąc głową, jakby się czemuś dziwiła. Ale osuwając się na piasek, obejrzała się znów przez ramię; wyraźnie chciała się upewnić, czyjej partner się nie poruszył. Potem podwinęła nogi pod siebie i usiadła niemal twarzą do niego, wyprostowana, w pozycji półłotosu. Teraz zdawała się mieć niemal wschodnią twarz o okrągłych policzkach napierających na oczy, tak że wyglądały na zwężone.

- Wróciłeś tu jeszcze raz?

- No... Myślałem, żeście skończyli.

- Właściwie to wcale cię nie widziałam, tylko wyczuwałam, że tam byłeś.

- Co masz na myśli?

- Niektórzy ludzie zaznaczają swoją obecność.

Siedząc w milczeniu i patrząc na niego, zdawała się czekać na jakąś uzgodnioną rzecz, która miała się wydarzyć. Nie chciał mówić ani robić nic, co wprowadziłoby go w zakłopotanie albo zmusiłoby do odejścia.

Odwrócił się na chwilę w stronę morza, udając relaks niewymagający słów, ponieważ w tej wspólnej ciszy czuli się bezpiecznie. Ona jednak podniosła się bezszelestnie i odeszła kilka kroków dalej, do wody.

Zaczerwienił się, zaczynając żałować, że ją traci, i postanowił także wejść do morza, chociaż przypomniał sobie, że w kieszeni ma scyzoryk

- prezent urodzinowy od żony - który mogłaby zniszczyć słona woda.

Kobieta wśliznęła się pod miękką falę. Woda była odpychająco zimna, ale się zanurzył i zaczął płynąć obok kobiety. Przez jakiś czas pruli wodę, patrząc na siebie, potem nagle kobieta podpłynęła bliżej i położyła mu

dłoń na ramieniu. Chwytał ją w pasie i przyciągnął do siebie, czując, jak jej nogi rozsuwają się i go obejmują. Fala chlusnęła im na głowy, wywołując kaszel; wybuchnęli śmiechem, po czym kobieta złapała go za biodra i pocałowała chłodnymi ustami, aby zaraz wysliznąć mu się z rąk i odpłynąć dalej. Po chwili wyszła na plażę i ruszyła w stronę śpiącego kochanka, który nadal się nie poruszał.

Mężczyzna tuż po wynurzeniu sięgnął do kieszeni po szczyryk i wyciągnął wszystkie cztery ostrza, wycierając je mokrymi palcami i wydmuchując wilgoć z wnętrza. Usiadł na piasku; nie miał ręcznika, ale słońce grzało coraz mocniej. Świeże powietrze w płucach sprawiło go w beztronski nastrój; odrzucił w tył głowę i z zamkniętymi oczami pogрузzył się w relaksie. Musi być coś, co powinien zrobić. Obrócił się i spojrzał na drugi koniec plaży; kobieta patrzyła na niego, siedząc na kocu - mierzyli się wzajemnie wzrokiem, jakby każde z nich trzymało koniec długiej, jedwabnej nici. Teraz ją utraci. Znaj omy ból powracał w jego biodra. Mężczyzna rozciągnął się na plecach w poczuciu małego triumfu, że jednak dotknął jej ciała i w pewien sposób także ducha, i zamknął oczy. Niespodziewanie palce snu zaczęły mu się wkradać na tył zamkniętych powiek; pływanie w morzu czasem relaksowało go niemal jak seks i poczuł, że jeśli tylko zechce, może zasnąć. Zaczął już nawet odpływać, ale słońce tak mocno przygrzewało, że w obawie przed oparzeniem usiadł i zmusił się do wstania. Raz jeszcze zerknął na plażę, w stronę opiekuńczej wydmy, i nagle serce mu zamarło. Para zniknęła! Poczuł, że żołądek z szoku podchodzi mu do gardła, grożąc torsjami. Jak to się mogło stać tak szybko? Przecież musieli złożyć koc i śpiwór, spakować porozrzucane rzeczy... Ruszył spieszenie ku wydmie, gdzie leżeli, ale nie tam nie było, piasek okazał się zbyt miękki, by zachować ślady stóp. Gula strachu narastała mu w piersi; rozglądał się gorączkowo na wszystkie strony, ale nie widział nic prócz morza i pustej plaży. Skręcił szybko w stronę wyłożonej płytkami ścieżki, w nadziei, że zdoła dotrzeć do ulicy, zanim znikną na dobre, i nagle stanął jak wryty: na czubkach ostrej trawy unosiła się biała trykotowa koszulka. Wziął ją do rąk i poczuł bardzo delikatne ciepło ciała. A może zostawili ją przez zapomnienie jacyś inni kochankowie i ciepło pochodziło od słonecznej spiekoty? Obawa osunięcia się poza jakąś krawędź w czyste zagubienie. Ale w tej samej mrocznej chwili ogarnęła go nagle ogromna radość, z niczym niezwiązana. Wspiął się ścieżką na ulicę i skręcił w drogę do domu, gdzie się zatrzymał. Czy to nie dziwne, myślał, że tak mało go obchodzi, czy tych dwoje naprawdę tam było, skoro ich widok dał mu tyle szczęścia?